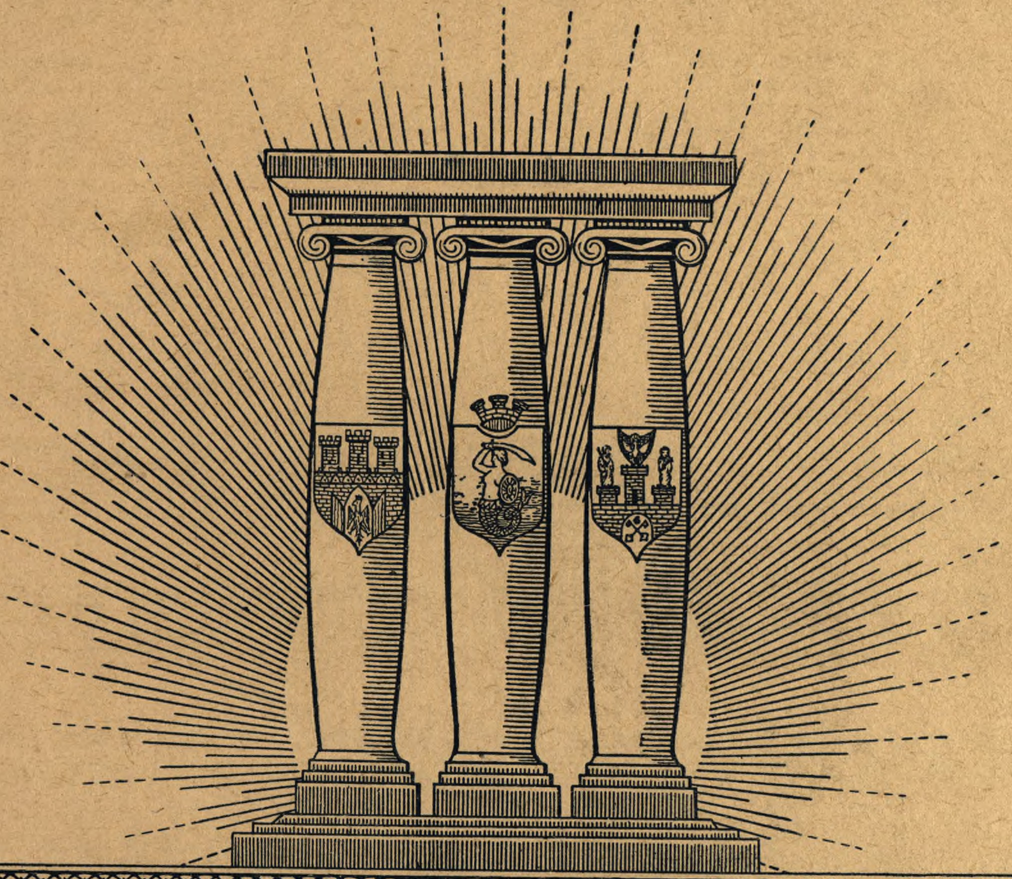
RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK V. LUTY — 1931.

WARSZAWA

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank. 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.; KWARTALNA — 2.50 zł. Cena POJEDYNCZEGO numeru 1.— zł.

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-16 Redakcji 503-59. P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
ROK V. WARSZAWA, LUTY 1931

PANI — ZIMA



Z podmuchem północnych wichrów, zawodzących w głębokich kniejach ponurą pieśń, w podbiegunowych zasłyszaną równinach — przyszła do ziemi polskiej wielka pani, władczyni surowa, czarodziejka Zima.

W białej szacie, lśniącej miljardami djamentów, stanęła w majestacie wśród mazowieckich pól i zabużańskich borów, hen aż po niebotyczne Tatry zakreśliła granice swego panowania. Nie dolecą tu ciepłe tchnienia południa, nie zepsują białych kobierców rozesłanych na polach i łąkach, nie zdmuchną pysznych pioropuszy z zadumanych sosen i świerków...

W puszczach tuła się zwierzyna wszelka z trudem szukając pokarmu, a zwierz dziki staje się napastliwy i śmielszy...

Zda się nigdy tu nie zieleniała murawa, nigdy nie pachły wonne kielichy kwiatów, wabiące pszczoły i motyle, nigdy nie rozbrzmiewał wesoły ptasząt chór...

Teraz tylko kruk czarny wałęsa się nad drogą, a stada wron hałaśliwie sejmikują pode wsią w śniegach zagrzebaną...

Dobrze jest człowiekowi w wieczór zimowy w cieple domowego ogniska, gdy nie dba o zamieć szalejącą na dworze, ani o dokuczliwe żarty Mrozu, wiernego służki Zimy, szczypiącego w policzki...

Piękną jest Zima, niezmierne są jej bogactwa, straszliwą jej potęga, zakuwająca w bezruch bystre rzeki, jeziora i morza — ale w wieczór zimowy nie marzy człowiek o jej czarach, nie wysławia jej siły i mocy...

Marzy o tej, której nie ma, lecz która przyjść musi, która już gdzieś z za gór do nas się skrada, zawsze z tęsknotą oczekiwana, zawsze kochana, dobra i serdeczna, o innej wróżce w zielonej szacie, z słoneczną twarzą, przybycie swe zwiastującej przez powracające do ojczyzny ptaki. Marzy o Wiośnie...

Śnieg sypie za oknem. Gaśnie ogień na kominku, słychać dalekie dzwonki zbłąkanych sań... Przyjdź-że corychlej polska Wiosno.

RAD.

MARSZAŁEK JOFFRE JAKO WÓDZ

W historji sztuki wojenej nazwisko marszałka Joffra zostanie nazawsze upamiętnione zwycięstwem, odniesionem w 1914 r. nad Niemcami, które naród francuski nazwał „Cudem nad Marną...". W tej pamiętnej bitwie Joffre udowodnił, że jest wodzem, wodzem znakomitym, wielkim, którego imię przechodzi do historji...

Chwila była bardzo ciężka. Wojska francuskie, pobite nad granicą, pośpiesznie cofały się. Francję ogarnęła panika. Rząd nie czując się bezpieczny w Paryżu wyjechał do Bordeaux. W duszę wielu dowódców zakradło się zwątpienie...

Generał Joffre nie zwątpił we własne siły, w duszę *poilu* francuskiego, w genjusz narodu. Zdawał jasno sobie sprawę, że wyniki tej bitwy mogą uchylić cios, skierowany w serce ojczyzny, mogą odwrócić straszne skutki przegranej walki. Nie zachwiał się, nie zwątpił ani chwilę w zwycięstwo, a znaczy to tyleż, co samo zwycięstwo. Joffre miał charakter silny...



Marszałek Francji Joffre.

Żeby lepiej go zrozumieć i poznać trzeba cofnąć się do jego przeszłości, do tych warunków, w których się urodził, wyrósł i doszedł do najwyższego stanowiska w armji francuskiej.

Joffre był synem katalońskiego chłopa. Urodził się 1852 r. w chacie bednarza, obarczonego liczną rodziną, składającą się z jedenaściorga dzieci. Trzeba było tą czeladkę nakarmić, ubrać i do szkoły posyłać, a wszystko z pracy rąk. Przyszły marszałek widział, jak ojciec jego pracował ciężko, uparcie od rana do nocy, jak starsze rodzeństwo pomagało mu w robocie. Potem chodził do szkoły, a wróciwszy do domu nie tylko przyglądał się pracy ojca, ale odrobiwszy lekcję śpieszył mu z pomocą.

W szkole jak to bywało i bywa na całym świecie, syn bednarza nie liczył na żadne poparcie ani względy. piął się w górę tylko o własnych siłach. Po skończeniu gimnazjum pojechał do szkoły politechnicznej w Paryżu, gdzie również nie miał możnych znajomych ani też krewnych. Trzeba było złożyć egzamin bez żadnego poparcia, nie oglądajac się na żadne względy, lecz tylko liczyć na własną wiedzę zdobytą w gimnazjum...

Jeszcze szkoły nie skończył, nastąpił straszny rok 1870, wybuchła wojna z Prusami. Joffre w tępie przyśpieeszonym został podporucznikiem saperów i poszedł na front. Brał udział w obronie Paryża, widział klęskę swoich wojsk, nie tak dawno zwycięskich, tryumfalnie maszerujących po Europie wzdłuż i wszerz. Patrzał na upokorzenie Francji, na zranioną dumę narodu...

Wojna się skończyła. Joffre uzupełnił swoje wykształcenie wojskowe w Fontenaibleau. W 1876 r. mając zaledwie 24 lata został kapitanem. Tu dotknął go bolesny cios: umarła jego młodziutka żona. Joffre prosił o przeniesienie do wojsk kolonjalnych w Indochinach, aby tam w obliczu ciągłych niebezpieczeństw szukać ukojenia po stracie żony. W walkach na Formozie z tubylcami kapitan Joffre dał się poznać jako samodzielny dowódca, zdolny do szybkiego postanowienia w chwili decydującej i nie wahający się brać na siebie odpowiedzialności za swe czyny...

W 1888 r. został przeniesiony do Paryża i mianowany dowódcą batalionu saperów. Jednocześnie wykładał fortyfikację w szkole wojskowej w Fontenaibleau. W 1892 r. znowu został przeniesiony do wojsk kolonjalnych w Afryce. Tam poznano go jako oficera pracowitego, spokojnego, zrównoważonego i szybko orjentującego się w chwili niebezpiecznej, a więc wielce nadającego się na samodzielne stanowisko. To też wkrótce został dowódcą oddziału wojskowego, wysłanego wgłąb kraju dla utrzymania w posłuszeństwie buntujących się tubylców. Z powierzonego zadania major Joffre wywiązał się dobrze. Odsiecz prowadzona przez niego szybko i umiejętnie, uwolniła załogę francuską, oblężoną przez powstańców w Timbuktu. W całej tej wyprawie Joffre działał spokojnie, rozważnie i uspakająco na tubylców. Murzyni widzieli w jego działaniu nie rękę karzącą, lecz zaprowadzającą porządek.

W 1901 r. został generałem i szefem inżynierji w ministerstwie wojny. Potem dowodził dywizją piechoty i korpusem w Amiens. W 1911 r. mianowano go szefem sztabu generalnego i generanym inspektorem wojsk, z tem zaś związane stanowisko naczelnego wodza wrazie wojny.

Piastując najwyższe stanowisko w wojsku, generał Joffre staczał walkę z polityką partyjną, wdzierającą się w szeregi armji francuskiej, Często bowiem wyznaczano na odpowiedzialne stanowisko oficerów, którzy na to nie zasłużyli ani wiedzą, ani też zdolnościami, lecz jedynie tylko dlatego, że byli popierani przez wpływowych polityków. Generał Joffre, który nie popierany przez nikogo i bez wszelkich wpływów ubocznych, przebijał sobie drogę tylko swoją wiedzą i pracą, przeciwstawiał się wpływom partyjnej polityki w wojsku, lecz niezawsze skutecznie, gdyż wpływy zewnętrzne były nieraz silniejsze.

W tym właśnie okresie, kiedy departamenty traciły więcej czasu na politykę, niż na pracę fachową, uderzył grom z jasnego nieba. Dobrze uzbrojone armje niemieckie wkroczyły na terytorjum francuskie i w bojach granicznych pobiły wojska francuskie, gorzej uzbrojone i słabiej przygotowane do boju. Niemcy, wytoczyli przytem na pole walki ciężką i najcięższą artylerję, której francuskie armje polowe nie miały zupełnie...

Polityka wszechwładnie panująca w departamentach fachowych w czasie pokoju, kiedy wszystko ujść





Iluminacja Grobu niezn. żoln. w Paryżu. POGRZEB Ś. p. MARSZAŁKA JOFRA. Pochód żałobny przed ratuszem Paryża.

może, sromotnie przegrała na polu walki, gdzie przewagę bierze zdolność, doświadczenie i wiedza fachowa. Joffre bezsilny w najwyższej radzie wojennej w Paryżu, teraz miał władzę prawie nieograniczoną w polu. To też zaczął bez miłosierdzia usuwać generałów, których narzuciła mu polityka *), a na ich miejsce wyznaczać tych, których zdolności sam poznał, będąc szefem sztabu generalnego. Przedewszystkiem najbliższym swoim współpracownikiem uczynił generała Focha, któremu powierzy dowództwo nad nową armją, którą zamierzał stworzyć w środku uszykowania frontu, przeznaczonego do natarcia.

Foch tak o tem mówił:

— Pod koniec sierpnia 1914 r. w kilka dni przed bitwą nad Marną, generał Joffre nagle wezwał mnie do swego sztabu. Natychmiast udałem się do kwatery głównej. Zastałem naczelnego wodza nad zwyczajnie spokojnym, opanowanym i pewnym siebie. Odbierał doniesienia z pola bitwy i wydawał rozkazy z niewzruszoną zimną krwią... W czasie mej podróży niejedna przykra myśl powstała w mej głowie... Wielką więc otuchę sprawił mi ten spokój, który panował w naczelnem dowództwie u samego wodza i w jego otoczeniu. Wróciem pełen dobrej nadziei. Wrażeń tych doznawali wszyscy oficerowie, którzy wtedy mieli z nim do czynienia...

Ten spokój, ta równowaga, pewność siebie i samodzielność cechowały Joffre'a przez całe życie. W szkołach Joffre nie był uczniem świetnym, lecz wzorowym, pilnym, spokojnym, uważnym i zawsze gotowym do odpowiedzi, a przedewszystkiem bardzo samodzielnym. Nigdy nie zwracał się do nikogo z prośbą o pomoc. Zadania swoje zawsze rozwiązywał sam. Czasem mordował się długo ale radził sam, gdyż mawiał, że „źle rozwiązane zadanie samodzielnie jest pożyteczniejsze, niż najlepiej rozwiązane przy obcej pomocy, albowiem na polu walki, w obliczu niebezpieczeństwa trzeba będzie decydować samemu, tam pomocnika nie będzie, i ponosić odpowiedzialność za swoją decyzję".

Foch tak charakteryzował Joffre'a:

Cechą jego podstawową był pewny sąd oraz trzeźwy i zdrowy rozsądek. Dobrze umiał zorganizować pracę dokoło siebie, co jest wielką zaletą prawdziwego wodza... Gdy wejdzie oficer z doniesieniem, Joffre czyta uważnie, rozmyśla, potem krótko wydaje rozkaz... Rozporządzał on wielką siłą moralną i nie dawał się nigdy załamać w niepowodzeniu... W najtrudniejszych chwilach sposób jego życia pozostawał bez zmiany: kładł się spać zasypiał i wstawał w zwykłych godzinach... W chwili kiedy całe jego otoczenie było niespokojne i przygnębione, Joffre rozkazywał z największym spokojem. Tak właśnie było w czasie bitwy nad Marną, bitwy, będącej wytworem wyłącznie jego tylko myśli i jego zdolności. Zwycięstwo przypada całkowicie Joffre'owi, gdyż tylko on w tej bitwie dowodził. Za wielkie zasługi, oddane nam wtedy mamy w stosunku do niego niezmierzony dług wdzięczności...

Tak oceniał marszałka Joffre'a marsza-



Zwłoki Ś. p. Marsz. Joffra w kaplicy św. Ludwika. w Szkole Wojskowej.

*) Zwolnił przeszło 100 generałów.

łek Foch, który w 1918 r. dokończył dzieło zwycięstwa, rozpoczęte przez Joffre'a w 1914 r. nad Marną.

Istotnie bitwą nad Marną Joffre położył olbrzymie zasługi nietylko w stosunku do Francji, ale i państw innych, których losy były związane z Francją. Joffre jasno zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, która spadnie na niego za tę bitwę. To też myślał długo, rozważał starannie i gdy Kluck pewny zwycięstwa zbliżał się do Paryża, wydał rozkaz natarcia. W raporcie do rządu pisał:

„Bitwa, która wnet się rozpocznie, mieć będzie skutki rozstrzygające, lecz może mieć również dla Francji wrazie niepowodzenia następstwa najcięższe. Postanowiłem uruchomić bez wyjątku wszystkie nasze siły, aby dążyć do zwycięstwa"..

Tak też się stało. Zebrał wszystkie siły uderzył i zwyciężył. Francja odetchnęła. Rząd wrócił do Paryża...

Rozpoczęła się wojna długa pozycyjna, trwająca bez znaczniejszych zmian prawie do końca 1916 r. Politycy, którzy oszołomieni z początku wojny, teraz znowu podnosili głowy i wtrącali się do spraw wojskowych. Nie rozumiejąc prowadzenia współczesnej wojny, zaczęli sarkać. Joffre musiał ustąpić z armji czynnej. Odszedł bez żalu i goryczy, bo wiedział, że spełnił rolę historyczną. Rząd, uznając wielkie zasługi Joffre'a, nadał mu najwyższy stopień wojskowy — marszałka Francji i mianował go przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej Sprzymierzonych.

Joffre usunął się w zacisze domowe, unikając gwaru politycznego. Wystąpił z interwencją tylko raz w 1918 r., domagając się mianowania wspólnego wodza naczelnego wszystkich wojsk sprzymierzonych i powierzenia tego stanowiska Fochowi, „który jest jedynym człowiekiem, zdolnym do spełnienia tak wielkiego zadania w tak ciężkich warunkach"...

W wyborze Joffre się nie omylił...

Nie ubłagana śmierć, która zabrała marszałka Joffra, d. 3 stycznia r. b. okryła żałobą nietylko Francję...

Pułkownik Adolf Małyszko.



ALINA KWIECIŃSKA.

M Y Ś L.

Jeszcze na wschodzie w czystym lazurze
obłoczki białe świecą u góry —
— a od północy, zwiastując burzę,
ciężkie i ciemne nadchodzą chmury...

Tak w życiu naszem — gdy spokój włada,
radość beztroska sercem i duszą —
— nie wiedzieć kiedy smutek się skrada
i gromy bólu szczęście zagłuszą...

N I E Z A W S Z E...

Niezawsze szczęśliw, kto nie zna złej doli,
a nieszczęśliwy ten, kogo los gnębi.
Czasem wśród śmiechu skrycie serce boli,
a mimo troski trwa spokój gołębi.
Ból jest dla duszy tem, czem pług dla roli.
Bezmyślna radość często serce ziębi.
Niezawsze szczęśliw, kto nie zna złej doli,
a nieszczęśliwy ten, kogo los gnębi.

Z M R O K.

Idzie zmierzchu tajemniczość szara.
Dzień umiera zwolna, zmrok zapada.
Coraz ciemniej... staje w kącie mara...
Coraz ciszej... — coś szepce, coś gada...

Księżyc wzeszedł. Na srebrnych promieniach
płyną myśli gdzieś w światy nieznane....
Gwiazda mruga. — Widzę trud w tych drgnieniach,
serce bije, w ciszę zasłuchane...

I na skrzydłach fantazji niesiona,
widzę dziwy w każdym ruchu cienia...
— Zegar wybił! Drgnęłam przebudzona!
Wnieśli lampę. — Prysnęły marzenia...

PIOTR MICHAŁOWSKI

W rozwoju polskiego życia artystycznego — malarstwo najpóźniej doszło do tego szczytu, by móc rywalizować z europejską sztuką. Poza nielicznemi talentami, pojawiającemi się zwłaszcza w epoce króla-mecenasa, Stanisława Augusta, artystów, którzy raczej rozwijali swą malarską działalność w Polsce, ale z Polski, przeważnie, nie pochodzili, nie mieliśmy przed XIX stuleciem polskiego malarza, w całem słowa tego znaczeniu.

Do najznakomitszych artystów pędzla dawnej epoki, zaliczyć należy Norblin'a, Bacciarelli'ego, Canalett'a, znanego ze swoich widoków Warszawy, czy już Polaków, jak Michał Płoński, pełen subtelności grafik raczej, niż malarz oraz Aleksander Orłowski, który z animuszem i werwą rysunkiem i akwarelą przedstawia kolorystyczne sceny.

Ale, w polskiem malarstwie odznaczył się talentem artysta, którego twórczość mało jest znaną szerokim warstwom społeczeństwa, dorobek malarski — przechowywany po prywatnych, mało dostępnych, zbiorach, został uprzystępniony dopiero na wystwie retrospektywnej sztuki polskiej we Lwowie, w 1894 r., której, zarazem, zawdzięczamy dwie podstawowe dla studjów nad polskiem malarstwem prace, jakiemi są prof. J. Bołoz-Antosiewicz, z całą precyzją naukowego znawstwa pisarzy „Katalog" i przepyszne dzieło Jerzego Mycielskiego „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce".

W tych też dziełach, prócz małej wzmianki w Rutanieckiego „Słowniku malarzy polskich" — znajdziemy dane, dotyczące artystycznej działalności Piotra Michałowskiego.

Ale, Michałowski nie jest tylko i wyłącznie malarzem. Malarstwu, na serjo, oddaje się później, gdzieś po 1831 r., t. j. gdy rozpoczyna czwarty dziesiątek swojego życia. Poprzednio, i do końca życia, poświęca się pracy obywatelskiej, pracy publicznej, w której zapisał się, nie mniej, wśród imion dobrze zasłużonych krajowi, jak w dziejach narodowej sztuki.

Piotr Michałowski ur. 2. 7. 1800 r. w Krakowie z rodziców, których patrjotyzm był powszechnie znany. Ojciec jego Józef był konsulem (radca) dożywotnim i senatorem Rzeczypospolitej Krakowskiej (1815 r.), matka Tekla z Morsztynów. Z domu rodzicielskiego wynosi głębokie przywiązanie do wiary św. i prawdziwy, szczery patrjotyzm, ten patrjotyzm czynu, a nie frazesu, który sprawią, że ambicja jego było od najmłodszych lat gruntowne poznanie wszystkiego, czemu w pracy swojej miał się poświęcić. To też było powodem, że na różnorakich polach swej działalności Michałowski, daleki od dyletantyzmu i powierzchowności, okazuje się specjalista, wszechstronnie przygotowanym do spełnienia przyjętych na się obowiązków.

Wcześnie, bo już w osiemnastym roku życia otrzymuje dyplom uniwersytecki, interesując się specjalnie filologją i bibljografją. Z Krakowa wyjeżdża Michałowski na dalsze studja do Getyngi, gdzie znów studjuje matematykę i nauki przyrodnicze, nie mniej kształcąc się w lingwistyce: łacinie, grece, angielskim i hiszpańskim. Po czterech latach pobytu zagranicą wraca do kraju, gdzie poznawszy jego wielkie wartości i wybitne zdolności, ks. Lubecki, powołuje go do administracji krajowej, na której czele stał wówczas ten wybitny nasz mąż stanu. Michałowski dostaje trudną pracę, z której jednak wywiązuje się znakomicie. Obejmuje wydział górnictwa, który po pięciu latach kierownictwa nim, doprowadza do świetnego rozwoju. Wypadki 1831 r. przerwały tę pracę. W podróży po Włoszech dochodzą go wieści o wybuchu powstania listopadowego. Wraca do kraju, ale poto, by wraz z innemi wyjechać na emigrację.

Jedzie do Paryża i wtedy to poświęca się zupełnie sztuce, której dotychczas oddawał tylko wolne chwile od pracy. Już w dziecinnych, szkolnych czasach, pobierał lekcje malarskie u Józefa Brodowskiego, już wtedy z pasją kopjował batalistyczne rysunki Orłowskiego. Podczas uniwersyteckich studjów następnie jako naczelnik wydziału górnictwa, dla odpoczynku po pracy, często bierze pędzel do ręki. Z tego okresu pozostały typy wojskowe w Warszawie, rewja W. ks. Konstantego, czy portrety tego księcia lub brata artysty.

W Paryżu dopiero jednak zupełnie poświęca się sztuce, gdy wstępuje do pracowni znanego francuskiego malarza scen wojskowych Charlet'a. Tam pod wpływem mistrza, nie mniej i twórczości Géncault'a, czy dawnych mistrzów, zwłaszcza Velasquez'a talent Michałowskiego rozwija się, kształtuje, mężnieje, nabiera cech indywidualnych, które znamionuje — podobny Orłowskiemu — temperament, rozmach, mający charakter wybitnie narodowy. Sztuka Michałowskiego odznacza się pozatem świetnym rysunkiem, szeroką techniką, i tą głębią i soczystością, dającemi się zauważyć w dziełach jego olejnych. W Paryżu głównie maluje akwarelą. Z tego to okresu przedstawiają jego prace sceny z życia wojskowego, wyścigowe i rodzajowe. Na wszystkich tych dominującą rolę odgrywa koń, którego typ jest odmienny od typu Kossakowskiego konia. Wtedy powstaja te liczne szkice i akwarele kirasjerów, ułanów, strzelców konnych, te obrazki z dyliżansami, czy te wszystkie, które ilustrują okres napoleoński. Mimo powodzenia, mimo, że dzieła jego znajduja chętnych nabywców, zwłaszcza w Anglji, Michałowski wraca do kraju, osiada na wsi, pod Krakowem, w Krzysztoforzycach, dopiero wypadki 1848 r. zmuszają go do opuszczenia umiłowanej wsi. Staje na czele Rady administracyjnej W. Ks. Krakowskiego, funduje w Krakowie instytucję dobroczynną, przytułek dla bezdomnych i ulicznych włóczęgów. Po trzech latach przewodnictwa Rady, na którem znów wykazał swoje wybitne zdolności i ducha obywatelskiego, osiada na wsi, gdzie w 1855 r. umiera.

W ostatnim okresie życia maluje mało, oddaje się pracy na roli i dobroczynnym dziełom.

Twórczość artystyczną Michałowskiego, która naprawdę godną jest baczniejszej uwagi naszych historyków sztuki, można podzielić na okresy: przed pobytem w Paryżu, który trwał lat cztery i na okres po powrocie do kraju.

W pierwszym okresie, na który składają się prace rysunkowe, akwarelowe i olejne, zauważyć można, jak to już powiedzieliśmy, w twórczości Michałowskiego, wybitny wpływ sztuki Orłowskiego. W drugim zaś okresie widać już wybitne usamodzielnienie się artysty od obcych wpływów, wykazujące indywidualność artysty, a w sztuce jego charakter narodowy.

Twórczość Michałowskiego i jego piękna postać — mało znana dzisiejszemu pokoleniu, w chwili gdy naród święci setną rocznicę listopadowego powstania przypomnieć warto, bo na tle tych dziejów uwypukla się ona wybitnie.

A. O.



Cesarz Etjopji Sellasi I w stroju koronacyjny m z synem następcą tronu.

W państwie „Króla-Królów"

(W ABISYNJI).

Godłem cesarstwa Abisyńskiego jest lew w koronie, dzierżący w prawej łapie berło. „Zwycięstwo należy się lwu z plemienia Judy" głosi dewiza. A pełny tytuł władcy Abisynji brzmi: „Zwycięski lew z pokolenia Judy, św. Sellasi I, wybraniec Boży i król królów Etjopji".

Ród swój ukoronowany dn. 2-go listopada r. ub. monarcha abisyński wywodzi od królowej Saby i króla Salomona. Słowem dynastja ta trwałaby już około trzech tysięcy lat.

Nowy władca — Ras Tafari, wnuk stryjeczny Menelika II-go, zajmował do chwili śmierci cesarzowej Zaiditu, córki negusa, stanowisko współregenta. Po jej zgonie udało mu się uprzedzić wszystkich ewentualnych konkurentów i zdobyć koronę. Zaznaczyć przytem wypada, że rewolucje pałacowe w Etjopji, mają utarty i wielce charakterystyczny przebieg. Jeden z pretendentów do tronu, który zdołał wcześniej dowiedzieć się o zgonie poprzedniego monarchy, stara się uwięzić wszystkich pozostałych członków królewskiej rodziny i za cenę podarowania wolności uzyskuje następnie ich zgodę na swą koronację.

Ras Tafari jako współregent Zaiditu znalazł się w szczęśliwszem położeniu od swych konkurentów. Mówią też, że dla ułatwienia sobie roli przez dłuższy czas ukrywał fakt zgonu „królowej królów".

Tak czy inaczej Ras Tafari został cesarzem. Ceremonja koronacyjna odbyła się w sposób wielce uroczysty w katedrze św. Jerzego w Addis Abeba.

Pół kościoła przeznaczono na podjum, bogato wysłane przepięknemi dywanami, pośrodku którego znajdowały się dwa trony pod wspaniałymi baldachimami. Jeden zajął Ras Tafari, drugi jego małżonki. Przed podjum umieszczono ołtarz, na którym spoczywały insygnia królewskie. Za ołtarzem znajdowało się duchowieństwo. Po jednej stronie podjum stały krzesła dla dostojników państwowych, po drugiej dla przedstawicieli obcych mocarstw.

Anglja wydelegowała młodszego syna króla Jerzego V, księcia Jorku; Włochy, księcia Neapolu, Francja marsz. Petaina. Żadne z państw nie zlekceważyło sobie zaproszenia



Kleryk abisyński w procesji.

na koronację, jakkolwiek obok kosztów delegacji wypadało jeszcze złożyć stosowne, cenne upominki.

Etjopja kraj parę razy większy od Polski stanowi zawsze dogodny teren ekspansji ekonomicznej. Nic więc dziwnego, że nie zabrakło żadnego z przedstawicieli państw na tej uroczystości.

Koronacja odbyła się z niebywałym przepychem i majestatem. Para monarsza oraz dwór wystąpili w kosztownych strojach, wprost jakby wyczarowanych z krainy baśni. Cenne materje o jaskrawych barwach, bogate hafty złote, wyszycia, drogie kamienie, korony misternie wyrobione — istne arcydzieła jubilerskie, miecze, wszystko to zachwycało wzrok. „Król królów", który całą noc spędził czuwając w katedrze, o godzinie 9 rano wstąpił na tron. Po odprawionem nabożeństwie przywdział wspaniały purpurowy płaszcz królewski, a następnie w ciągu prawie godziny wręczano mu wśród odpowiednich ceremonij szereg odznak jego władzy: miecz, włócznię, ostrogi, berło i t. p. Wreszcie włożono mu na głowę koronę, prawdziwe arcydzieło jubilerskiego kunsztu. Wśród radosnych okrzyków, huku dział i odegranego hymnu państwowego — ogłosozno koronację za dokonaną.



Duchowni abisyńscy w uroczystej procesji.



Ofiara pedagogji etjopskiej.

Następnie zostało odprawione nabożeństwo dziękczynne. Poczem nowy władca odczytał mowę tronową, w której zapowiedział, że zachowa i nadal niezależność państwa, które obok Liberji jest jedynym krajem w Afryce nie podlegającym władzy mocarstw europejskich.

Uroczystości kościelne zakończyły się procesją. We wspaniałych ornatach i kapach purpurowych, błyszczących od złota i drogich kamieni, przyozdobionych haftami szli długiemi szeregami kapłani abisyńscy. Misternie kowane krzyże, korony procesyjne i t. p. urozmaicały pochód, budząc zachwyt cudzoziemców.

Kościół w Abisynji jest heretycki, monofizytyczny (to znaczy uznający tylko Boską naturę Chrystusa). W religijnych poglądach Abisyńczyków pomieszane są zresztą wierzenia chrześcijańskie, judejskie i pogańskie. Tak n. p. stosuje on zarówno chrzest jak i obrzezanie. Chrystjanizacja Abisynji rozpoczyna się od czwartego wieku, co jednak doprowadziło — jak widać — do tak połowicznych wyników. W epoce podbojów przybyli tu wraz z Portugalczykami misjonarze katoliccy, których wszakże

wypędzono w r. 1633 w okresie reakcji pogańskiej.

Na czele abisyńskiego kościoła stoi arcykapłan, Abuna. Jedną z najstarszych świątyń jest świątynia Sjonu w Aksum. Jak głosi legenda miała tam pozostawać przez pewien czas izraelska arka przymierza. Tradycje żydowskie w kościele abisyńskim datują się zwłaszcza z okresu 900—1262, kiedy na abisyńskim tronie zasiadali przybysze z Judei.

Kultura Abisynji zbliżona jest w wielu swych cechach do kultury dawnego Egiptu, z którym była związana licznemi węzłami. Okres ekspansji chrześcijaństwa w północnej Afryce, oraz inwazja mahometańska nie pozostały bez wpływu na nią. Szkolnictwo abisyńskie jest w pierwszem stadjum rozwoju i ogranicza swój program nieomal do nauki czytania.

Abisyński system pedagogiczny opiera się na karze cielesnej. Nierzadki też bywa widok zakutego w łańcuchy niedorostka, który w ten sposób pokutuje za żakowskie swawole.

Równie pierwotnie, jak wszystko w tym kraju wygląda armja. Cudzoziemcy, biorący udział w koronacji, zostali zaproszeni na jej przegląd. Rewja wojskowa odbyła się na typowem dla Abisynji płaskowzgórzu Teiin Uahra, położonem w pobliżu stolicy. Czoło sił zbrojnych stanowiło 3000 uzbrojonych i regularnie wyćwiczonych żołnierzy piechoty. Za nimi następowały oddziały jazdy w liczbie 1000 a koniec pochodu stanowiło 50000 wojsk nieregularnych. Żołnierz nieregularny posługuje się rodzajem giermka; jest to zwykle mały chłopczyna, z trudem dźwigający karabin i pas z nabojami.



Wzór pisma abisyńskiego.

Widok defilujących wojsk był jedyny w swoim rodzaju. Wśród obłoków pyłu z groźnym, rozdzierającym niebo okrzykiem pędziły jak wichura oddziały jeźdźców, rzucając w górę flinty i dziryty.

Dzicy wojownicy, pamiętający jeszcze wojny pod dowództwem Menelika II-go, wykrzykiwali nazwy stoczonych bitew i ilość zabitych wrogów. Tej niezwykłej rewji przyglądał się z tronu Sellasi I, przystrojony w starożytny, w złocie kuty hełm i wspaniały purpurowy płaszcz „króla królów".

Zaiste niebywałe to widowisko, jak i niezwykłym jest cały ten kraj.

J. Cz.

ALEKSANDER BORUCKI.

STARE PIEŚNI

Jak gwar ptaków w ciemnym lesie,
Jak ich skrzydeł głośny szum —
Z dawnych czasów echo niesie
Złotą przędzę starych dum.

Kto was słyszał pieśni stare,
Głos królewski waszych harf —
Jakby wypił wina czarę
I świat ujrzał w tęczy barw.

Stare wino, pieśń wiekowa
Dziwną siłę ma i czar!
Nuta stara, stare słowa
Leją w żyły ognia żar.

Tęsknie brzęczą wasze struny,
Malowane w wieków pleśń.
Stare czasy, stare runy —
Jak baśń cudu wasza pieśń!

JÓZEF BIRKENMAJER

KOŁYSANKA

Makóweczko — grzechoteczko,
chrzęść cichuśko, chrzęść!
Śpij spokojnie, śpij dziecinko
pod kołderką, pod pierzynką;
szczęść ci Boże, szczęść!

Makóweczko, chrzęść cichuśko
jakby makiem siał;
nad wózeczkiem się pochylaj,
dzidziusiowi sny umilaj,
żeby dobrze spał!

Nad wózeczkiem się pochylaj
jak matczyny cień;
ponad dziecka uszkiem lewem
schyl się, szepcąc w nie powiewem
lekkich wietrznych tchnień.

Schyl się nad niem jak mateńka,
jasne włoski pieść;
w uszko szepnij mu, makówko,
jakie ciepłe, miłe słówko,
jaką dobrą wieść!

KSIĄDZ BRÓZKA — BOHATER PODLASKI

Nie grały im surmy zbrojne, nie łopotały proporce barwne. Matką ich była miłość Ojczyzny, małżonką broń, dziecięciem — wolność Polski. Nagrodą — śmierć i Sybir.

Bohaterowie cisi, a tak wielcy.

Nierówna walka, znoje, głód, ogień, a na tem tle przesuwają się postacie powstańców, postacie dzielne, surowe, jakby odlane ze spiżu.

Sześćdziesiąty trzeci... Wojna... Podlasie... i największy bojownik Podlasia ks. Stanisław Brzózka...

Urodzony we wsi Dokudowie na Podlasiu w roku 1834, wykształcenie średnie pobiera Staś w Białej Podlaskiej, by później wstąpić na medycynę w Kijowie. Porzuca jednak wkrótce uniwersytet i studjuje w seminarjum duchownem w Janowie, przekładając leczenie dusz nad leczenie ciała. W roku 1858 biskup podlaski Szymanowski wyswięca kleryka Brzózkę na kapłana, poczem ks. Brzózka, mianowany wikarjuszem, sprawuje swój urząd w Sokołowie, w Łukowie i znów w Sokołowie. Z niezwykłą energją pracuje wśród ludu. Kazania jego porywają słuchaczy. Budzi ludzi z uśpienia niewoli Lud kocha swego księdza i gdy z rozkazu władz wyjeżdża z Sokołowa, ludzie chwytają za koła bryczki, z uwielbieniem całują jego sutannę.



Pomnik ks. Brózki w Sokołowie Podlaskim.

Za swoje natchnione patrjotyczne kazanie w roku 1861 w Białej Podlaskiej, gdy wskazuje na obecnych na nabożeństwie drwiących oficerów rosyjskich, jako tłumicieli wolności zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu.

Po kilku miesiącach zwolniony, wraca i znów zaczyna tworzyć i przygotowywać Podlasie do powstania.

Nareszcie tłumiony ogień wybucha... Polska powołuje swych synów pod broń. Księdza Brzózkę widzimy jako kapelana w oddziale Lewandowskiego. Złączony w jednej osobie kapłan, sanitarjusz i zwykły szeregowy żołnierz, niesie ksiądz Brzózka pomoc i pocieszenie swoim towarzyszom broni, opatruje rany, dysponuje na śmierć konających — a gdy potrzeba, jak lew rzuca się w bój walki i z karabinem w garści, z rozwianą czupryną i pałającemi oczyma niszczy potęgę najeźdźców. Wiarą i czynem zagrzewa.

Po rozbiciu oddziału Lewandowskiego, ksiądz Brzózka zgłasza przez siebie zebranych rozbitków do oddziału Borelowskiego. I ten oddział wkrótce ulega przemocy. Staje ksiądz Brzózka na czele pozostałych, jako samodzielny wódz.

W całym kraju powstanie chyli się ku upadkowi. Wrze jednak na Podlasiu. Ksiądz Brzózka broni nie składa. Postanawia wytrwać do końca...

Otoczone zewsząd bagnami „Lackie Błota", i wysepki prawie niedostępne stają się kwaterą główną wodza.

Bez chwili odpoczynku mały oddziałek czyni wypady na wroga w różnych częściach Podlasia. Najczęściej zjawia się w miejscu, gdzie się go najmniej spodziewają. Jak meteor lub błyskawica ukazuje się raptownie, rąbie, strzela i ginie zaraz, by się ukazać niezwłocznie w innem miejscu.

W roku 1864 zjawia się ksiądz Brzózka w Siedlcach. Poszukiwany przez Moskali, ukrywa się w dzwonnicy staromiejskiej. Jeszcze go w Siedlcach poszukują, a on już bije wroga pod Lubartowem, a potem pod Białą Podlaską.

Moskale, wściekli na Brzózkę, poszukują go z niezwykłą energją.

Obława wysepki w Błotach Lackich dostarczyła Moskalom kilka sztuk broni zepsutej przy tlejącem jeszcze ognisku.

Imię księdza Brzózki coraz większy postrach sieje wśród wroga. Postać jego staje się legendarną wśród żołnierzy rosyjskich. „Ksiądz jest święty, nieuchwytny to czarodziej, kule odeń odskakują, a machnięciem swej ręki śmierć sprawia..." mówiono w szeregach.

Rząd rosyjski postanawia skończyć z zajadłym wrogiem za wszelką cenę. Kubańscy kozacy z generałem Zankisowem na czele penetrują Podlasie. Wódz, widząc grożące niebezpieczeństwo, rozpuszcza na zimę swój odział, by go zwołać znów na wiosnę. Sam z adjutantem swoim ukrywa się po różnych zakamarkach Podlasia.

Dowiedzieli się Rosjanie, że ksiądz Brzózka ukrywa się we wsi Przywosk.

Gdy wieś już została przeszukana i oddział miał odejść, zwrócono uwagę na małą szopę, opodal od drogi stojącą. Otoczyli więc ją i poczęli kłuć bagnetami. Ze snopów rozległa się salwa... Przerażeni moskale uciekli, pozostawiając siedmiu zabitych. Gdy Brzózka toruje sobie drogę do lasu z dubeltówką w ręku, jeden

z kozaków strzela doń z odległości kilku kroków. Kula odbija się od lufy dubeltówki. Kozak, widząc że go nie zabił, rzuca broń i z okrzykiem „Gospodi" ucieka.

Ksiądz uszedł Moskalom... Ukrywa się z adjutantem swym, kowalem Wilczyńskim, we wsi Sypytki, w małej skrytce, utworzonej przez podwójną ścianę.

Stąd, jak ze sztabu, działa ksiądz przez gońca swego, krawca Błońskiego z Błonia pod Sokołowem. Nosił on listy i zlecenia po wsiach i miasteczkach.

Nie korzysta ksiądz Brzózka z możliwości wyjazdu do Krakowa, mimo że miał wyrobiony paszport. Nie opuszcza ciemiężonego ludu.

Dnia 24 kwietnia 1865 roku trąbki wojskowe oznajmiły przybycie Moskali. Sypytki zostały okrązone. Przyszła cała dywizja. Mimo uważnych poszukiwań księdza Brzózki i Wilczyńskiego nie znaleziono. Odchodzące już wojsko zawrócono z powrotem i przystąpiono do ponownego szukania. Tym razem mierzono ściany domów wewnątrz i zewnątrz.

Wyszedł wtedy z ukrycia ksiądz Brzózka z adjutantem, by za drozszą cenę swe życie sprzedać. Powitali oni kilkunastu stojących pode drzwiami żołdaków strzałami. Moskale poczęli z przerażeniem uciekać. Spalił ksiądz Brzózka swoje papiery, pobłogosławił swoich gospodarzy i wyszedł.

Był już blisko lasu, gdy dognali go kozacy na grobli. Dubeltówka odmówiła strzału. Ranny kulą w nogę z szablą w ręku wzięty został ksiądz Brzózka żywcem. W tym czasie wybiegł z lasu adjutant Wilczyński i podbiegając do wodza, zawołał:

— Księżę i wodzu mój! Dzieliliśmy się razem niedolą i dolą, podzielmy i śmierć... Umrzemy za Polskę razem!

Z Sokołowa przewieziono księdza Brzózkę do Warszawy, potem do Siedlec, skąd znów do Sokołowa.

W dniu targowym 23 maja 1865 roku stanęły na rynku Sokołowa dwie szubienice. Lud nakazami ze wsi ściągnięto na ponure widowisko.

Sprowadzono skazańców na miejsce kaźni. Spowiedź... Ostatnie słowa księdza:

— Żegnajcie bracia, siostry i wy, małe dziatki! Ginę za naszą ukochaną Polskę, która....

Zawarczały bębny, zagłuszone jednak płaczem ludu.

Ciała zdjęto i przewieziono do Brześcia nad Bugiem, gdzie je miano pochować pod fortami twierdzy. Wersje krążą, że spalone ciała w postaci popiołu rzucono na cztery wiatry.

Szubienicę szybko uprzątnięto, by nawet drobne wiórki nie pozostały jako relikwje w rękach Polaków.

Umarli są bardziej żywymi niż żywi. Pamięć o księdzu Brzózce, mimo sześćdziesięciu pięciu lat jest tak żywa, jakby się to działo dziś. Imię ze czcią przechodzi w nowe pokolenia.

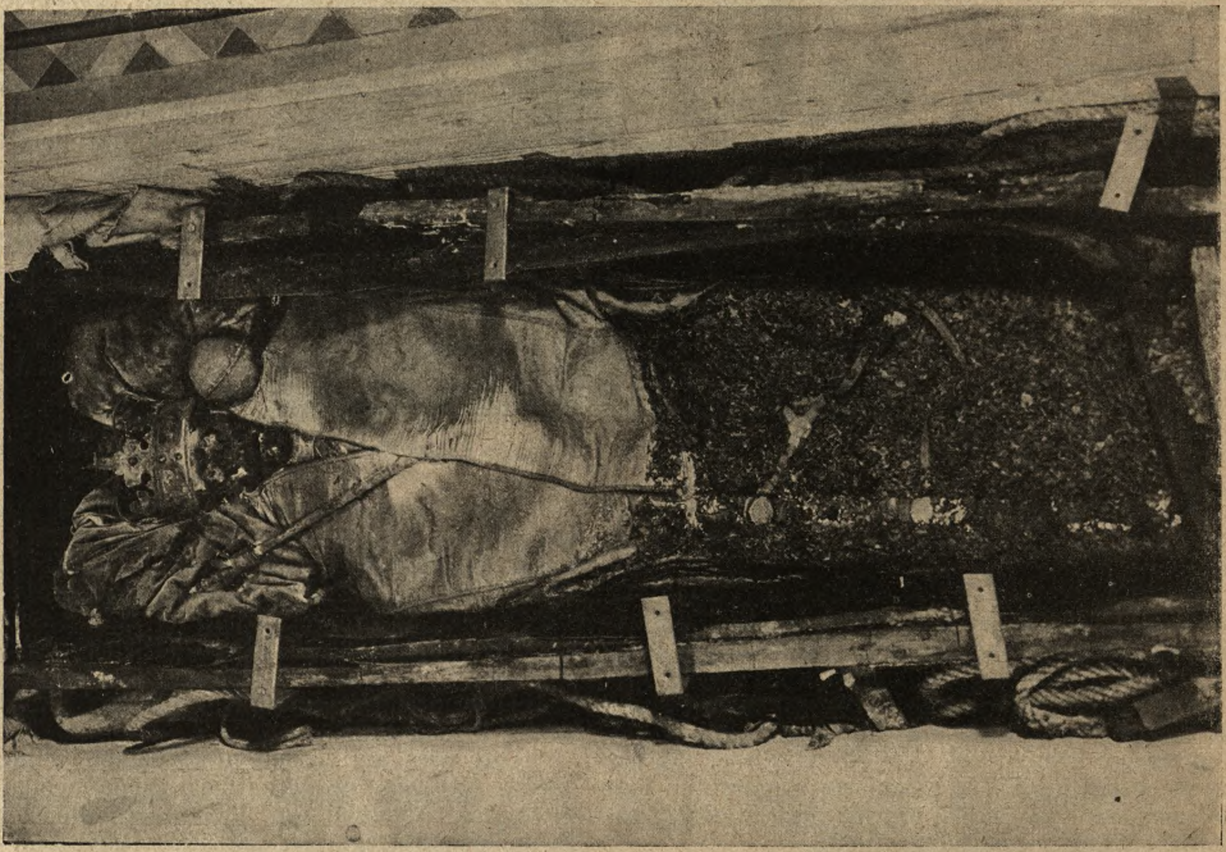
Na rynku w Sokołowie wznosi się pomnik z marmuru i spiżu z napisem:

„Powstańcom 1863 roku ks. St. Brzózce i Fr. Wilczyńskiemu, straconym na tem miejscu przez Moskali dnia 23 maja 1863 roku, i poległym na Podlasiu — Rodacy".

A Komitet budowy pomnika wydał jednodniówkę o powstaniu na Podlasiu, z której niektóre dane do tego wspomnienia o księdzu Brzózce zaczerpnąłem.

Cześć pamięci tych co krwią swą wywalczyli niepodległość Najjaśniejszej!

Bolesław Polkowski.



W grobach królewskich na Wawelu odbywa się restauracja sarkofagów i zamiana zmurszałych trumien. Tak wyglądały śmiertelne szczątki Stefana Batorego po otwarciu dotychczasowej trumny.



Wazka wydobywająca się z poczwarki.

Z życia owadów

Istota życia — to ustawiczny ciąg przemian, przeistaczanie się jednych form w drugie. Kresem tego procesu jest śmierć. Już nawet byt miskroskopowej ameby w kropli wody daje nam obraz prawdziwy procesu życiowego. Jej maleńki organizm stanowi swego rodzaju chemiczne laboratorjum, w którem pożywienie zostaje przetworzone na pożyteczne substancje, służące do odbudowy organizmu. Wskutek tego, już po upływie godziny taka ameba, jeśli chodzi o skład jej ciała, nie jest „tą samą" istotą.

Również zewnętrzne kształty organizmu, do którego dostają się różne materje, by ulec tam najrozmaitszym przemianom a następnie być wydalone, — nie są bynajmniej niezmienne. Wreszcie i całość organiczna podlega przemianom: organizm dojrzewa i starzeje się. To dojrzewanie nie jest bynajmniej równoznaczne z powiększaniem się organizmu do pewnych granic, lecz dotyczy również jego wewnętrznej struktury. Wobec tego obserwujemy zwłaszcza charakterystyczne zjawisko metamorfoz, czyli zupełnej zmiany kształtów, której podlega każdy embrjon w swym rozwoju.



Motyl świeżo wyszły z poczwarki.

Każde młode stworzenie podlega po swych narodzinach dalszym poważnym przemianom, które mają z jednej strony na celu wzmocnienie organizmu, z drugiej — przygotowanie go do specjalnych celów życiowych. U wielu stworzeń, zwłaszcza u owadów przemiany te rozwojowe nie mają charakteru ciągłego, lecz, bez wyraźnych form przejściowych, tworzą najzupełniej odrębne fazy rozwojowe, w których trudno się dopatrzeć cech tego samego istnienia. Tak n. p. trudno dojrzeć jakiś związek między poczwarką a motylem. Istnienie tej samej istoty rozpada się jakby na dwa istnienia, które zarówno pod względem organizacji jak i całego swego przebiegu wykazują krańcowe różnice. U innych owadów występują różnice te w stopniu jeszcze bardziej wyraźnym.

Wiele larw, zwłaszcza larwy łątek, ważek, żyją w wodzie, podczas gdy w pełni rozwinięty owad przebywa w powietrzu. Larwy oddychają przy tem narządami zbliżonemi do skrzel rybich, przy których pomocy wydzielają z wody kwas węglowy. Inne larwy mają usposobienie rozbójnicze, są zaopatrzone w straszliwą broń napastniczą, podczas gdy rozwinięty owad ledwie zdolny jest zdobyć dla siebie pożywienie.

W zależności od tak różnorodnego trybu życia pogo trybu życia pozostaje cały organizm, jego narządy zmysłowe, układ systemu odżywczego i trawiennego, układ nerwowy wreszcie — są najzupełniej różne. Larwy są n. p. ściśle wyspecjalizowane w kierunku zdobywania pożywienia. Jedynem ich zadaniem jest rosnąć, powiększać swą objętość i w tym celu zdobywać jak największą ilość pokarmów. Skoro cel ten został osiągnięty, wówczas larwa przechodzi w stan zupełnego spoczynku, zmienia się w poczwarkę. W tym czasie, trwającym mie-



Motyl szykujący się do lotu.

siącami, odbywa się całkowite przekształcenie organizmu, aż wkońcu powstaje zupełnie inna istota. Ukształcony owad ma za swój wyłączny cel zachowanie gatunku. Przytem, wyda się to może paradoksem, stan larwy trwać może nieraz latami, podczas gdy owad, którego powstanie poprzedził tak długi rozwój, żyje ledwie dni, nieraz godziny.

Podczas gdy larwa, czy liszka cały czas swej egzystencji poświęca na karmienie się nieomal bez przerwy, owad prawie nie przyjmuje żadnych pokarmów. Jego życie jest przeważnie krótkim okresem gry miłosnej. Obie zatem fazy rozwojowe mają swe formy przeobrażeniowe prawie wzajemnie niezależne i wymagające zupełnie odrębnego przystosowania organicznego, jakby chodziło o dwie zupełnie różne istoty. W larwie nie mamy przytem powtórzenia poprzedniego stanu rozwojowego gatunku. Przeciwnie. Osobliwe cechy formy larwowej naogół powstały później od form rozwiniętego owada. U owadów niższych rzędów metamorfozy nie występują naogół wyraźne. U znanego gatunku Lepisma owad wylęgły z jaja jest tylko nieco mniejszy od dojrzałego, pod każdym innym względem jednak doń podobny. Tak samo termity i tym podobne gatunki nie wykazują wielkich różnic w formie larwy i owadu, a tryb ich życia jest bardzo podobny. Szczególnego rodzaju metamorfoza, jakkolwiek nie zupełna występuje u cikad i ważek. Larwy ich zwykle żyją w wodzie lub w ziemi, tymczasem rozwinięty owad unosi się w powietrzu.

Osobliwie poważne różnice ustrojowe występują u żab. Ich larwy, t. zw. kijanki, wiodą zupełnie odrębne życie w porównaniu z dojrzałemi żabami. Nie mają one kończyn, oddychają skrzelami zamiast płuc, przebywając zresztą w wodzie. Rozwinięta żaba dzieli zaś swój tryb życia, jako stworzenie ziemno-wodne, między te dwa żywioły i stąd posiada odpowiednie przystosowania organiczne.

Ciekawy przebieg rozwojowy mają larwy chrząszcza, które wyróżniają się tem, że pasożytują na dzikich pszczołach. Okres życia larwy ma dwie fazy. Ze złożonego w ziemi jaja wylęga się larwa, która wspina się na wysokie pędy traw, oczekując tam na przybycie „swego” gatunku pszczoły, w której przywykły pasożytować. Gdy zdarzy się, że pszczoła usiądzie na kwiecie, aby wyssać miód — larwa przyczepia się do jej odwłoka, w który następnie wdrąża się. Wewnątrz organizmu pszczoły odbywa ona dalszą ewolucję, niszcząc wnętrzności gospodarza. Po jego śmierci wykluwa się żuk uskrzydlony, który wylatuje na krótki goń miłosny. Te larwy, którym nie udało się przyczepić do odwrotka ulubionej pszczoły — giną marnie, nie osiągnąwszy pełni swego rozwoju.



Skrzydła ważki, po wyjściu jej z poczwarki są bardzo delikatne. Jednakże soki z organizmu wypełniają je bardzo szybko, powodując ich rozwój i wzmocnienie, dzięki czemu skrzydła stają się zdolne do lotu.

Jeden z gatunków chrząszcza (sitaris) ma zwyczaj składania swych jaj wprost do otworu gniazda dzikich pszczół. Młode larwy przebywają tam do chwili wiosennego wylotu młodych pszczół. Są to małe samczyki. Do nich przyczepiają się larwy żuka i pozwalają się obnosić po świecie, aż do chwili, kiedy nastąpi spotkanie samczyków z samiczkami, później wylatującemi z gniazd pszczelich. W tym momencie larwy żuka przedostają się na odwłok pszczółek, by tam dokonać dalszych przemian.

Oczywiście, że tak specjalne warunki, wymagane dla rozwoju larwy sprawiają, iż nie wszystkie jaje mają szanse życia. To też u niektórych gatunków owadów, z jednego jaja powstaje odrazu paręset larw.

Podziwiać trzeba w tem wszystkiem mądrą ekonomję przyrody, która tak dba o zachowanie każdego gatunku.

J. C.

TADEUSZ KORDJAN.

U K O J E N I E

Już cisza. Zatrzasnął ktoś odrzwia dębowe,
ucichły zduszone okrzyki za ścianą —
ktoś dłonią litosną pogładził mą głowę,
oddechem osuszył oblicze spłakane.

— Przez smugi słoneczne, przez smugi świetlane
pył sączy się w fale wciąż nowe i nowe,
uśmiechnę się przecież i płakać przestanę,
bo słońce mi spiło łez gorzkich połowę...

Pył złoty się sypie i szemrze jak woda
na kartach pożółkłych złociście rozkwita,
Już cisza... w świątyni słoneczna pogoda,
ktoś w oczy mi patrzy i duszę w nich czyta,
a ona dziś taka słoneczna i młoda,
jakgdyby dziecina w zdrojach obmyta.

ZAKŁAD ŚW. KAZIMIERZA W PARYŻU



Grupa wychowanków Zakładu.

W Paryżu, przy ul. Chevaleret 119 znajduje się Zakład św. Kazimierza, pozostający pod zarządem S.S. Szarytek, a opiekujący się starcami i sierotami polskiemi. Jest tych starców, wśród których nie braknie weteranów 1863 r. i dzieci gromadka dość spora i byłaby jeszcze znaczniejsza, gdyby S.S. Szarytrozporządzały odpowiedniemi środkami.

Niestety w zakładzie tym, obsługującym Polonję nietylko paryską, ale i z całej Francji, panuje ubóstwo. Wystarczy powiedzieć, że sierotki nie mają w klasach, gdzie się uczą, ani jednej przyzwoitej ławki szkolnej. Siostry od paru lat kołaczą, gdzie tylko mogą w sprawie dobudowania nowego skrzydła gmachu zakładu, by usunąć dotkliwą ciasnotę, i mieć możność prowadzenia nauki w warunkach higjenicznych — ale dotąd zdołały zebrać zaledwie kilka tysięcy franków. Więc i starcy i dzieci Zakładu św. Kazimierza zadawalać się muszą w dalszym ciągu warunkami naprymitywniejszemi.

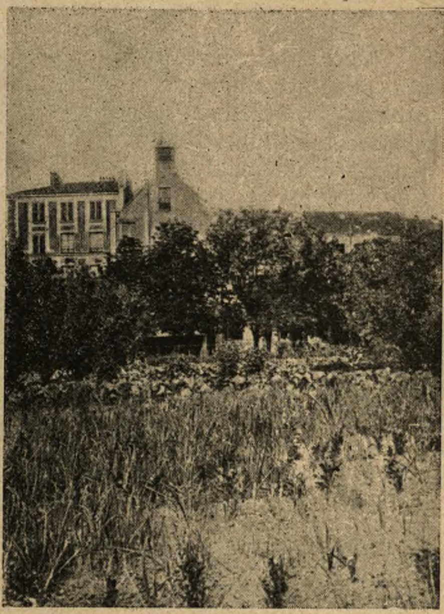
Nie dość tego, Zakład św. Kazimierza zmuszony był przerwać przyjmowanie chłopców i ograniczyć się tylko do opiekowania się dziewczynkami. Dziś wobec tego w całej Francji niemasz ani jednego zakładu dla sierot polskich — chłopców...

Założyciele - dobrodzieje Zakładu oraz Siostry Szarytki robią co mogą, aby zakład przy ul. Cheveleret mógł sprostać zadaniom — cała emigracja polska zwraca się do tych ubogich Sióstr — ale braknie już polskim ofiarnicom i sił i zdrowia a przedewszystkiem środków.

Rzecz ciekawa, że obecnie głównemi opiekunkami Zakładu św. Kazimierza są panie ks. Poniatowska i hr. Orłowska, z pochodzenia Amerykanki, nie rozumiejące nawet po polsku... Czyżby Polacy w ojczyźnie nie mieli obowiązku w miarę możności dopomóc pracy Szarytek, ratujących dziatwę polską we Francji od nędzy moralnej i materjalnej i wynarodowienia?



Grupa wychowanic Zakładu.



Gmach Zakładu św. Kazimierza.

Po nowym roku w Zakładzie św. Kazimierza dziatwa polska odegrała Jasełka w języku polskim i parę komedyjek francuskich. Bardzo się udały dzieciom tańce narodowe, tańczone w strojach polskich, mazurskich, krakowskich, kaszubskich i góralskich, przyczem rekord zdobyli Kujawiacy...

Wasz.

WŁADYSŁAW PĘKOSŁAW - BORAKOWSKI.

NIBY NIGDZIE

Świat — to jest gdzieś tam, daleko, nie tutaj...
z zaczorowanych snów opowieść wysnuta,
śniona szczęściem bajka — której szukać trzeba
nie tu, gdzie jestem, lecz tam, gdzie mnie nie ma.

Gdzieś we świecie... daleko... niby nigdzie...
A muszę iść właśnie tam, a nie gdzieindziej.
I gdy tam nie trafię — sam z sobą się minę,
ślad swój zagubię i wiem — że sam zginę.

Gdzieś... we świecie — więc nigdzie, chociaż wszędzie
tam, gdzie mnie nie było i może nie będzie —
baśń szczęścia, jak dziecko, uśmiecha się sennie...
I w świat się wyrywa wszystko, co jest we mnie.

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

KUSICIEL

Wyczerpany czterdziestodniowym postem i modlitwą, miał już Chrystus opuścić dzikie góry Judei. Ostatniem wejrzeniem objął swą grotę, która Mu zapewniła tak długo dach nad głową i była przedsionkiem nieba... I już miał zejść ze stoków urwistych dzisiejszej wyżyny Dżebel Karantal — tak utrzymuje tradycja — gdy wtem... musi jeszcze załatwić gościa!

Zdaleka kłania mu się przybysz. Najwidoczniej szukał nowego Proroka na pustkowiu. A może sam w tych górach jest jednym z pustelników - ebjonitów, co wówczas tam mieszkali, i z jakimś interesem przychodzi...

Delikatność Chrystusa posuwała się zawsze do ostatnich granic. Mimo zmęczenia, mimo wyczerpania sił postanawia załatwić gościa, który Go tymczasem układnie i z uniżonością wita....

Był — okazuje się — nad Jordanem. Miesiąc temu z górą, gdy Jan udzielał chrztu Mistrzowi. Słyszał nawet ich rozmowę, widział nebo otwarte i gołębicę. Nie uszedł jego uwagi głos z nieba. „To Syn mój najmilszy... Jego słuchajcie!" Wnioskując z tego świadectwa niebios i z tego, co Jan przedtem mówił (wielki prorok, ale trochę krańcowy!) — to ziemię nawiedza niezmierna łaska boża!.. W osobie Tego, z Kim ma szczęście rozmawiać w tej chwili, stoi przed nim i przed narodami — Mesjasz, Syn Boży...

A jemu nadewszystko imponują wielkie duchy. I chciał odrazu nad Jordanem zgłosić się do Mistrza, ale jakoś Rabbi znikł mu z oczu. Szczęściem dopytał się, że Rabbi poszedł w góry modlić się i wreszcie Go odszukał. Jest pełen podziwu dla tak długotrwałego postu i bogomyślności, która nie lęka się sąsiedztwa hien i szakali.

Początkowo bał się o zdrowie Mistrza i nawet udając się w góry miał zabrać nieco żywności. Zaniechał jednak. Rozmawia przecież z Mesjaszem! A zresztą sam mógłby narobić smacznych chlebów, choćby z tych oto kamieni, bo nie chwaląc się też się trochę zna na cudach.... Ale w tym wypadku ustępuje pierwszeństwo Godniejszemu...

— Rabbi — zwrócił się do Chrystusa — rozkaż, aby te głazy stały się chlebem! — Posilimy się. Prawdę mówiąc, to i mnie zmęczyła bardzo ta droga w góry...

Spoczęły na mówiącym oczy święte, które na wszystko patrzeć muszą...

— Nie samym chlebem — usłyszał odpowiedź — żyje człowiek, ale i wszelkiem słowem, które pochodzi z ust bożych!

Ale tak, naturalnie! Ze serca wyjął mu Mistrz to zdanie. Potrzeba światu słowa bożego, zawartego w Piśmie! On sam zna całą Biblję na pamięć i widzi, że obaj z Mistrzem doskonale nadadzą się do wspólnej pracy nad religijnem odrodzeniem Izraela i świata. Bo religja — to przyznać trzeba, niestety! — wszędzie ogromnie podupadła. Potrzebna stanowczo wielka Reforma religijna i przedewszystkiem Wielki Reformator! On z miłą chęcią ofiaruje Mistrzowi swe usługi. Ażeby zaś Rabbi wiedział, jak niezwykłego może w nim mieć pomocnika...

...wichrem porwał Chrystusa i postawił na wieży narożnej w świątyni jerozolimskiej. Samo spojrzenie w dół z tej wieży w dolinę Cedronu przyprawiało o zawrot głowy słabszych....

— Oto Mistrzu — mówił uczeń cudowny — jesteśmy w najspanialszem centrum religijnem. Akurat Pascha się zbliża. Zewsząd ściągają miljony Żydów do stolicy. Stąd odrazu ruch religijny może pójść na szerokie wody. Trzeba zjawić się pośród nich cudem... dosłownie spaść z nieba i ze świątyni... Rzuć się, Rabbi, z tej wieży w dolinę. Każdy Żyd w tem uzna palec boży, gdy ujrzy, że nic ci się złego nie stało. A wiemy przecież z Pisma... Aniołowie Cię na skrzydłach poniosą i nawet stopy nie urazisz o kamień wąwozu...

— Lecz napisano też — usłyszał odpowiedź — nie będziesz kusił Pana Boga twego!

Zapewne, jest i taki tekst w Piśmie. Skoro zatem Rabbi uważa ten sposób wystąpienia mesjanicznego za niewskazany, on się sprzeczać nie będzie, bo ma sposób nawet lepszy, skuteczniejszy i bardziej pomysłowy. Tak, skuteczny niewątpliwie! Za jednym zamachem obejmie się reforma religijną cały świat. Należy tylko wyzyskać do swych celów największą, a gotową już w narodach siłę, — mianowicie, polityczną, państwową...

...znów porwał wichrem Zbawiciela i poniósł Go z powrotem w góry Judei na najwyższy ich szczyt. I przesunął przed oczyma Chrystusa obraz chwały ziem i królestw, przepych władców i ludów.

— Ja — mówił — mam na swe skinienie wszystkie dwory panujących. Cały ich blask oddam na usługi Twej idei, ale pod warunkiem... Za taki pomysł i taką pomoc — upadłszy uczynisz mi pokłon...

Ale w tejże chwili groźny piorun zapalił się w cichych źrenicach Zbawiciela.

— Idź precz, szatanie, albowiem napisano: Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz i Jemu Samemu służyć będziesz!

Uszedł kusiciel, a przystąpili aniołowie i służyli Chrystusowi...

Jak Bóg-Człowiek, tak i człowiek spotyka na swej drodze szatana i aniołów, zwłaszcza w wielkiem dziele reformy życia: jednostek, rodzin, narodów. Zjawiają się i ofiarują swą pomoc. Kusiciel ma zawsze projekty szumne, niezwykłe eksperymenty: chleby z przemiału głazów wapiennych... skok z wieży kościelnej w rwące wody potoku... obalenie i przetasowywanie królestw... Prawdziwi natomiast aniołowie przystępują doń i poprostu mu służą — w duchu praw ustanowionych przez Boga.

M.



Uczestnicy lotu włoskiego przez Atlantyk, z gen. Balbo na czele.

ORŁY RZYMSKIE ZMARTWYCHWSTAŁY

(LOT PRZEZ ATLANTYK).

Trzynastą próbą zdobycia Atlantyku na skrzydłach nowoczesnego Ikara podjęli się Włosi. Rzecz ciekawa, ambicją zdobycia Oceanu odznaczają się, przedewszystkiem, lotnicy narodów romańskich: Portugalczycy 1922 i 1927), Hiszpanie (1926 i 1929). Włosi (1927 i 1928) i i Francuzi (1927, 1928 i 1930, a obok nich lotnicy z za Oceanu: Brazylijczycy (1926) i Urugwajczycy (1927 i 1929). A odwaga tych skrzydlatych rycerzy doprowadziła, że z pośród nich na „falach chwały" zginęli trzej Francuzi: de St. Romain, Moumeyeres i Petil.

Nie bojąc się „feralnej" trzynastki, Włosi z gen Balbo na czele, w największej przed światem całym tajemnicy, przygotowali lot trzynasty, który mimo dotkliwej i bolesnej straty wybitnych pięciu „asów" włoskiego lotnictwa podczas katastrofy dwuch hydroplanów nad Atlantykiem — stał się wielkim triumfem faszystowskich Włoch, triumfem, który sprawia, że naród ten szczycić się może swoją flotą powietrzną, jej sprawnością i wysokim poziomem strony technicznej, nie mniej i duchem tych, co na stalowych ptakach dokonują heroicznych przedsięwzięć.

Na dwunastu hydroplanach Włosi, całą gromadą polecieli na „podbój" Ameryki południowej. Na czele eskadry stanał sam minister awjacji, gen. Balbo. Z Bolany w portugalskiej Gwineji wzbiły się orły rzymskie ze stali ponad Oceanem, nad którym odbyły 3 000 klm. drogi do portu Natalu, z szybkością przeciętną 160 klm. na godzinę. Kierownikiem technicznym tej wyprawy był ppłk. Maddalena, którego nazwisko głośnem się już stało poprzednio, wskutek odkrycia w śniegach Północy czerwonego namiotu gen. Nobili'ego.

Kiedy hydroplany włoskie pojawiły się na horyzoncie ponad Natalem — entuzjazm zebranych tłumów był nieopisany, a Włochy — dowiedziawszy się o znakomitym zwycięstwie swoich lotników — szalały niemal z radości.

Czem jest przelot Włochów, najlepiej to określa Il Duce w rozkazie dziennym przesłanym do gen Balbo:

„Jest to czyn historyczny... Włochy są dumne z waszego lotu transoceanicznego! Postawiliście lotnictwo włoskie na porządku dziennym świata i zasłużyliście się dla ojczyzny... Lot Włochy-Brazylja niema precedensu w historji. Dowiódł czem są Włochy w dziewiątym roku ery faszystowskiej pod względem ludzi i maszyn".

A oddając hołd pięciu poległym lotnikom, dodaje:

„Włochy czczą ich jak gdyby padli na polu bitwy. Ich ofiara dowiodła, że lot transatlantycki wymaga śmiertelnego ryzyka".

Nie przebrzmiały jeszcze słowa ministra Włoch, gdy doszła nas wieść o nowym czynie włoskich lotników, którzy światu całemu głoszą, że orły rzymskie zmartwychwstały.

Oto trzej lotnicy: Lombardi, Gavini i Marrotti na turystycznych awjonetkach dokonują wspaniałego lotu na przestrzeni 28.000 klm. z Rzymu do Kaplandu, ponad brzegami Atlantyku i nad południową Afryką. Podróż trwała 96 dni. Jest to rekord niebywały!

Te dzieła wspaniałe włoskiego lotnictwa, ta ofiarna śmierć pięciu „asów", jest wymownym dowodem, że ci młodzi lotnicy włoscy lecący przez Atlantyk, pokazali światu prawdziwą wielkość faszystowskiego ducha."

Patrząc na wielkie dzieło glorji awjacji włoskiej nie można sądzić, że Mussolini dając do tego dzieła inicjatywę, miał tylko idealistyczne pobudki. Jest on zbyt realnym politykiem, dla tego i inne cele chciał lotem tym osiągnąć: zaimponowanie Ameryce, że dziś, w starej Europie, Włochy są jedynem państwem i narodem żywotnym zdolnym do wielkich czynów; zdobycia rynku amerykańskiego dla włoskiego przemysłu lotniczego (wyprawa gen Balbo kosztowała Włochy przeszło 70 miljonów lirów).

Nie chodzi nam jednak tutaj o cele, jakiemi kierował się Mussolini, ale musimy stwierdzić, że Włochy dokonały wielkiego dzieła, godnego podziwu.



Masyw Glocknera nad lodowcem „Pasterze”.

Z DOLIN ALPEJSKICH

Do najpiękniejszych dolin wschodnio - alpejskich należy dolina potoku Möll, niosącego mętne wody lodowcowe ze zbocz Glocknera do rzeczki górskiej Drawy, jednego z dopływów Dunaju.

Pięknie i gęsto zalesiona w swej dolnej części, obfitująca w grunta uprawne, łąki kwieciste i obszerne pastwiska w swych średnich i wyższych kondygnacjach, kończy się dolina Möll po kilkudziesięciu kilometrowej drodze malowniczemi progami i skalistemi wąwozami u stóp olbrzymiego lodowca Pasterowskiego, ukazującego się pod ścianami stromemi masywu Glocknera i zajmującego powierzchnię 32 kilometrów kwadratowych (największy lodowiec Alp wschodnich).

Otwierając najkrótszy dostęp do schronisk, lodowców i szczytów w strefie wysokogórskiej Glocknera, najwyższego wzniesienia Alp austriackich od chwili przyjęcia przez Włochy zachodniego Tyrolu wraz z dominującym szczytem Alp Wschodnich Ortlesem, — dolina Möll jest odwiedzana każdego lata przez tysiączne rzesze turystów i alpinistów, dojeżdżających samochodami pocztowemi do ostatniej w dolinie wsi Heiligenblut.

Ludność górską prowincji austrjackiej Karyntji, w której znajduje się dolina Möll, — tak samo jak i mieszkańców sąsiedniego Tyrolu i Salzburgu, — cechuje wrodzona uprzejmość, uczynność i życzliwość serdeczna i gościnna względem zwiedzających kraj ten turystów, wyróżnia usposobienie pogodne i wesołe, wysoka uczciwość, jednakowa w stosunku do swoich i do przyjezdnych i nieuzależniona od stanu zamożności tych ostatnich, wreszcie głęboka religijność.

Wieś Heiligenblut, będąc jednym z najważniejszych ośrodków turystycznych w Alpach austriackich, odwiedzaną jest tłumnie ze względu nietylko na bliskość masywu Glocknera z jego lodowcami, lecz i na swój piękny kościół gotycki, wybudowany w XIV i XV wiekach, a związany z następującą starą legendą z X wieku, wyjaśniającą pochodzenie nazwy wsi (Heiligenblut oznacza po polsku „świętej krwi“):

Cesarz wschodnio-rzymski Constantinus mianował rycerza duńskiego Bricciusa w roku 914 naczelnym wodzem swej armji. Uzyskawszy po zwycięskiej wyprawie wojennej od cesarza kilka kropel krwi Pańskiej, Briccius zabezpieczył, przed powrotną podróżą, flaszeczkę z krwią przed zgubą, ukrywając ją w nacięciu w prawej łydce. W drodze do kraju, Briccius zginął pod lawiną śnieżną na jednem z górnych pięter doliny Möll, gdzie zwłoki jego zostały odnalezione przez mieszkańców dzięki wyrastającym ze śniegu zielonym kłosom pszenicy. Gdy zwłoki Bricciusa zostały złożone na wózek, zaprzęgnięty w dwa młode woły, te ostatnie zawiozły je samorzutnie na miejsce, gdzie dziś stoi kościół, i tam zatrzymały się. Przy pogrzebaniu zwłok trzykrotnie podniosła się prawa noga Bricciusa, aż została spostrzeżona w niej, wyjęta i przechowana flaszeczka z krwią świętą.

Nad mogiłą Bricciusa wzniesiono kaplicę, a w XIV wieku na jej miejscu rozpoczęto budowę kościoła gotyckiego, zakończoną w 1483 roku, poczem kościół został poświęcony. Od roku 1787 kościół ten jest parafjalnym.

Najpiękniejszą ozdobą kościoła w Heiligenblut jest jego wielki ołtarz, rzeźbiony z drzewa przez tyrolskiego rzeźbiarza Asslingera i zakończony w 1520 roku. Grobowiec ze zwłokami Bricciusa stoi w krypcie pod chórem; flaszeczka z krwią świętą umieszczona została w monstrancji, przechowywanej w specjalnym domku misternej roboty przy głównym ołtarzu.

Na niewielkim cmentarzu, otaczającym kościół,

pochowani są liczni alpiniści, którzy ulegli nieszczęśliwym wypadkom w górach.

W miejscu znalezienia zwłok Bricciusa, na górnem piętrze doliny, odległem o półtorej godziny marszu od wsi Heiligenblut, stoi obecnie niewielka murowana kaplica pamiątkowa, której wnętrze przypomina swą prostotą i artystyczną bezpretnesjonalnością n a s z e swojskie kapliczki wiejskie. Na ołtarzu umieszony jest stary obraz, ilustrujący 16 epizodów legendy o Bricciusie, m. in. chwilę ukazania się krwi Pańskiej z rany na dużym krucyfiksie, zadanej cięciem z ręki żydowskiej.

W kościele parafjalnym Heligenblut odprawiane są w większe święta uroczyste nabożeństwa z procesją do najbliższe wioski, położonej o trzy kilometry niżej. Piszący słowa był świadkiem uroczystego obchodu święta Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny z salwami z baterji moździerzy na cmentarzu kościelnym podczas Podniesienia, odbijającemi głośnem echem w górach z długą procesją ze śpiewami, w której brała tłumnie udział cała ludność okolicznych hal i wiosek w odświętnych strojach ludowych, niosąc sztandary, chorągwie, obrazy i t. p. przedmioty.



Ołtarz w kaplicy pamiątkowej Bricciusa.

Religijność i wysoki poziom moralny ludności tyrolskiej, salzburskiej, karynckiej przejawia się w słowie i w czynie, również i w życiu codziennem. Obiad lub wieczerzy rozpoczynają znanakiem krzyża i chwilą skupienia, nietylko rdzenni mieszkańcy dolin górskich i ich dzieci, lecz i przybysze z miast w wymienionych prowincjach, uczestnicy niedzielnych wycieczek zbiorowych. Zarówno synowie gór w wioskach i na halach, jak też i wycieczkowicze z pobliskich miast austjackich, witają siebie wzajemnie i obcych czystem, szczerem „Grüsse Gott", co odpowiada naszemu „Niech będzie pochwalony". Nie dziw też, że przyjazny, pełen życzliwości szczerej stosunek



Wieś Heiligeblut z widokiem na Glockner.



Kaplica pamiątkowa Bricciusa pod Heiligenblut.

wości szczerej stosunek mieszkańców Alp wschodnich do przybywających w ich piękne górskie zakątki podróżnych zjednał sobie już dawno serca tych wszystkich, którzy korzystali z ich gościnności i ich bliżej jako ludzi poznali. Dotyczy to zarówno właścicieli górskich hoteli i pensjonatów, jak też prostych górali lub drwali.

Na tle tak licznych dodatnich narodowych cech charakteru rdzennej ludności gór austrjackich, tem więcej wyróżniają się, odbijając w sposób rażący, przybysze z bliskiej północy, zapełniający doliny tyrolskie w charakterze letników, a schroniska wysokogórskie jako turyści lub alpiniści.

Grzeczności ujmującej i szlachetnej bezinteresowności tyrolczyków przeciwstawiony zostaje zimny i agresywny egoizm Niemców, obierających na letnisko wioskę tyrolską ze względu na taniość waluty i traktujących Alpy austrjackie jak niemiecką kolonję a swych gospodarzy jak wasalów.

Na tradycyne tyrolskie przywitanie imieniem Boskiem odpowiada na ścieżce górskiej typowy turysta niemiecki z twarzą pociętą i czaszką goloną milczącym i ironicznym uśmiechem, w najlepszym razie chłodnem „dzień dobry" lub „mam zaszczyt", starannie unikając powtórzenia drażniącego sumienie niemieckie wyrazu „Bóg".

Od nawały północnej miłośnik gór nie znajdzie schronienia i w najwyższych schroniskach, położonych wśród wiecznych śniegów i lodowców, gdyż schroniska te, w przeważającej swej liczbie wybudowane przez niemieckie towarzystwo alpejskie (w którem sekcje austrjackie tworzą znikomą mniejszość), są właściwie tylko placówkami propagandy niemieckiej, umiejącej przebić się w każdą dziedzinę życia społecznego swej południowej sąsiadki i przygotowującej w ten sposób stopniowo grunt dla tak upragnionego „Anschluss'u", czyli ostatecznego i całkowitego zawładnięcia pozostałością dawnej monarchji habsburskiej.

Wjp.

ŁZY I OJCZYZNA

(NOWELA.)

I.

Łuny pożarne wynurzyły się z ciasnej otchłani nocy i rozlały krwawą posoką po skłonie niebios. Jakby tryskając z wulkanu czy też z miliona pochodni wysyłały macki ponsowe wyżej i wyżej, zamazywały krwią olbrzymie szmaty kopuły, roztaczały nad struchlałą ziemią ruską bezmiar strasznych rozblasków.

Noc czerwona stanęła pod znakiem grozy i zdało się, wszystko co płonąć może, że Rosja cała, jedną ogarnięta pożogą, goreje niby bezkresna puszcza chróstów, ginie w orgji pożarów, przepada na wieki.

Gore!! Koniec świata!

Na równinach zadnieprzańskich buchają kępy ogni, palą się sterty i stogi rozsiewając daleko miriady iskier i kłęby dymów. Palą się stodoły i obory, oficyny i sadyby wśród poryku bydła i psów jazgotania. Bo grom bolszewickiej zarazy trzasł w rozległe sioła, dziewica wojny wionęła nad niem krwawą chustą zagłady i obłęd ogarnął hordy ludzkiego zwierzęcia, wtrącił je w najdzikszy pijany szał niszczenia.

Wniosła tę zarazę w ciche osiedla wataha sołdatów, co urwali się z frontu bojowego. Dopóki deklamator Kiereński usypiał umysły haszyszem słów i gorzałką obietnic, lubo do kroków zaczepnych nie skłonna, hałastra ta bezmyślna, sejmikująca, trwała jakkolwiek na miejscu, nadzieją podziału ziemi słabo jeszcze przygwożdżona. — Lecz skoro prysła bańka mydlana, skoro zwalił się papierowy tron kiereńszczyzny i runął pod maczugą Antychrysta, jęła rozłazić się ta dzicz żołnierska. Rozsypała się ona i bezładnemi hordami ciągnęła w głąb kraju, gdzieś ku domowi, rozbojem, krwią zgliszczami znacząc swój szlak — szlak tłumów.

W purpurowem świetle płonących gumien, mrowie rozwydrzonych sołdatów i miejscowych zbirów grasowało we wspaniałym pałacu, w parku tonącym. Czyj on? — czort wie. Grafa czy generała. Dość, że to pałac, że nastojaszczy człowiek w nim mieszkał, by rebiata cisnęły na niego z dziką Wandalów furją. Niszczyć! Niszczyć!

Niszczyli. Waliły się biurka i szafy, jakby berdyszkiem ścięte, rozsypywały po posadzkach skorupy porcelany, spadały ze ścian lustra i obrazy, pękały marmury pod razami luf i kolb, łamały z trzaskiem fortepiany, rozlatywały dookoła srebra.

Niszczyli i pili. Pili, co w piwnicy wpadło w ręce, niekiedy butelkami słabszych win waląc o ściany i schody, aż potworzyły się tam bagna wonne, aż bezprzytomna zatruta zgraja legła w pomroku murów winem ociekających.

Trzymał się jeszcze na nogach Wanja, młody wielkorusin. Wytoczył się z pałacu, instynktem jakimś pchany. Na dnie kołowacizny pijackiej paliła się w nim świadomość, że ma gdzieś iść. Do domu hen, na moskiewskie rozłogi. Szedł więc, jak mógł, bez gewery, z kilku srebrnemi łyżkami, wyglądającemi z kieszeni szynelu. Szedł, jakby owa strzecha była o miedzę, rysując nożyskami esyfloresy niby w tańcu św. Wita, posuwając się naprzód zygzakami. Chwilami przystawał gdyż we łbie jego diabły i wiedźmy wyprawiały sobie korowody piekielne, i znów próbował iść, aż wreszcie grzmotnął się niby kłoda, powalił i zarył w błota kałużę. I spoczął w niej niby trup. Wsio rawno!

Wicher szumi w rozbałwanionej duszy śmiertelnie pijanego chama. — Nagle łyska w czeluściach jej migawkowo portret cara - batiuszki, jaki w bogatych ramach, z ogromną dziurą na piersi wydarta, zwalił się w jego oczach ze ściany w rumowisko pałacowych sprzętów, i raptem coś szarpie za pierś kacapa. Zatarzał się w błocie, jakby szpadą przeszyty i zaciął w topieli bezsilności. Padły obok niego dwie nogi fortepianowe, wyrzucone przez wydarte okno pałacu, lecz on nic nie widzi, nie czuje, nie wie, co się z nim dzieje.

Łzy gorące płyną po licach jego strumieniem, łka

i jęczy na nutę najsmętniejszej, najczarniejszej dumki. Poczucie skończonej, beznadziejnej niemocy rozlewa się na kraj jego cały. Zawodzi na tem czemś, co się skończyło, skończyło w sromocie i z nieprzeczuwanych głębin duszy rosyjskiej leje się w błoto bełkotliwie:

— Do czewo ty doszła, mnogostradalnaja Rossija!...

I głowa jego grzęźnie w kałuży.

II.

Ułani! Polscy ułani! Grzmią po bruku kopyta, na siwych koniach wynurza się z uliczki na czworobok rynku kapela, rżnie od ucha mazurka, budzi w zniemczałych murach uśpione duchy piastowskie, rozprzęga struny serc napiętych, porywa je w słoneczne przestwory radości. Wśród chorągwi czerwono - białych, festonów barwnych, girland kwietnych furkają proporczyki, lśnią bagnety wojska polskiego i jawi się sztandar, — zwiastun, wstępującej na zachodne swe rubieże, Polski.

Tysiące ludzi wita ten sztandar i mundur polski, tysiące oczu karmi się mozajką barw obrazu historycznego, tysiące serc drży jakby listki, płonie jakby krzewy ofiarne, tysiące dusz wniebowziętych kąpie sie w krynicy miłości dla wskrzeszonej, Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

W oknach ratusza widnieją głowy radnych miejskich. Biją o szyby okrzyki, wiwaty z rozwartych na oścież serc polskich, biją obuchem w piersi rajców-Niemców, co w czarnych, długich gerokach świątecznych, niby na powitanie samego Kaisera, stawili się obowiązkowo w sali obrad, by uderzyć w pokłon obłudny przed wkraczającym w dawne Piastów posady orłem białym.

Stoją przy oknach, niby ulewą spłukane, niemczyska spokorniałe, przybite niewolnicze. Nie rzucili tych dzierżaw śladem wielu rodaków, lepsze niż w pokonanym Vaterlandzie obiecując sobie tutaj czasy. Czekali w sali magistrackiej na uroczysty akt przejęcia kluczy miasta przez władze polskie.

Zalewają salę radni i czołowe miasta figury, występuje burmistrz, Niemiec, przemawia krótko, ciche zgrzyty wplatając w orację. Zaczem podaje poduszkę z kluczami notablom polskim. Na to jeden z nich zabiera głos, lecz Herr Wilhelm Schulze nie chwyta już słów rozstrojonym umysłem, nie rozumie nic. Widzi wszystko, jakby przez mgłę, patrzy na to, jakby na zjawę wyczarowaną gwoli udręce duszy krzyżackiej. Może to tylko sen, może koszmar?...

Nareszcie rozchodząc się wszyscy, wyludnia się sala i wstępuje w nią milczenie błogie. Lecz gdzieś z głębin rozfalowanego miasta płynie wibrujące radością, triumfalnie: „...nie zginęła!!“ Nie zginęła w szponach sępów krzyżackich, powstaje, podnosi głowę...

Nie zginęła? Co za krzywda dla Prus? Jakiż to czarny dzień!

Sam w sali Wilhelm Schulze osuwa się w fotel, wyczerpany wzruszeń bolesnych nawałą, zakrywa twarz. Głowa opada mu na piersi, obwisają ramiona, i duch stacza się w proch.

— Dazu ist es doch gekommen!

Więc jednak do tego przyszło — słowa jak ołów ciężkie kapią z drżących warg Prusaka i łzy, jak groch w ciemną brodę.

Płacze nad ciężką „krzywdą“, nad sromotą Vaterlandu. Lecz kojąca cisza wygładza starganą powłokę duszy. Zamilkły w odali dźwięki pieśni polskich i okrzyków odgrzmoty. W wypoczynkowy nastrój duszy krzyżackiej wkradają się echa wspomnień, inne tony, coś jakby nuty pieśni: „Vaterland magst ruhig sein“ czy „Ich bin ein Preusse“. I palce rąk Prusaka poczynają kurczyć się, zaciskać nieznacznie. Skulają się we pięść krzyżacką, która kryje się chytrze w zanadrze, i osychają łzy miłości ojczyzny.

Maciej Wierzbiński.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI.

ZIMA

Zmilkły ptaków skrzydlatych podobłoczne pienia,
Ścichł szept kwiatów, dyszących wonnym aromatem;
Miasto czystej ekstazy i kras uniesienia,
Złowroga, martwa cisza zawisła nad światem.

Całun śmierci okolił ziemię uznojoną,
Perełki dżdżu śnieżnego wiatr po polach miecie,
I pusto, głucho, szaro wokół po wszechświecie,
I rozpaczą tchnie wszystko w krąg nieogarnioną.

Szumiąca niegdyś dźwięcznie srebrnych wód kaskada,
Lodem ścięta spoczywa nieruchoma, senna;
Jak śmierć straszna, ponura, i jak ona blada,
Mknie w bezmiary tęsknica i nuda bezdenna.

Okiść drzew rosochatych pod śniegu brzemieniem,
Jak szkielet trupioblada i niezdobna w liście,
W złowieszczym wiatru ciągle porusza się świście,
Echem smutku i rzewnem, łzawem roztęsknieniem.

A gdy czasami wzejdzie srebrny krąg miesiąca
I zawiśnie nad ziemią, długim snem zmorzoną:
To taka jakaś bywa tarcz jego mdlejąca,
Jak sieroce, rozpaczy i łez pełne łono.

W dni posępne i chmurne coś jak duch się wlecze
Po przestworzach śniegowych, wstrętne i straszliwe,
Jakieś widma ohydne, półmartwe, półżywe...
Czy to śmierć w polu hasa, czy wiatr — któż docieczeʔ!

Z WIEDZY, LITERATURY I SZTUKI

ODKRYCIE ARCHEOLOGICZNE

Ekspedycja naukowa, zorganizowana przez Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie, dokonała doniosłych odkryć w Złotej w Sandomierskiem, a sięgających epoki neolitu, (młodszej kamiennej), czyli czasów 6—2 tys. lat przed Chrystusem.

Odkrycia w Złotej przyczynią się do wyjaśnienia niejednej zagadki z dziedziny prehistorji i wywarły w świecie naukowym olbrzymie zainteresowanie.

Wykryte zostały przeważnie mieszkania ludzkie i groby. Mieszkania te stanowiły doły wykopane w ziemi i nakryte chróstem i ziemią. Zawartość dołów zachowała się niejednokrotnie w takim stanie, w jakim pozostawili je przedhistoryczni mieszkańcy. Wykryto tam pracownie naczyń glinianych i narzędzi krzemiennych. Często zachowały się także ogniska, przy których rozrzucone są kości zwierzęce oraz skorupy małży rzecznych i ślimaków, co świadczy, iż tego rodzaju pożywieniem nie gardzono. Ziemianka bywała i grobem jej właściciela. Zwłoki jego w pozycji skulonej z nogami podwiniętemi składano na dnie ziemianki, obok zaś układano narzędzia różne i broń w dość znacznej ilości. Częściej jednakże zmarłych grzebano w osobnych grobach, w dołach prostokątnych, niedaleko ziemniaki. Czasem kopano nisze w rodzaju pieczar w lesie i tam składano zwłoki. Wejście do nich zastawiano blokami kamiennemi.

Odkopano dotąd około 1500 ziemianek, o rozmaitych odmianach. Pozyskano kilkaset naczyń zupełnie całych, nie licząc tych, które dadzą się złożyć z wykopanych fragmentów. Niektóre szkielety zasypane były ozdobami z bursztynu.

W części grobów natrafiono na szkielety, świadczące, że nie wszyscy tu pogrzebani, zmarli śmiercią naturalną, i że część ich pochowano za życia jako ofiary. Wśród ucztowisk, przy ogniskach, znaleziono w kilku wypadkach i kości ludzkie, co może przemawiać za tem, iż mieszkańcy tego przedhistorycznego osiedla nie brzydzili się ludożerstwem.

Badania wykażą dopiero do jakich ras, czy grup antropologicznych należeli ci ludzie epoki kamiennej w Złotej.

Wykopaliska rzucają również światło na ówczesną faunę. Oprócz kości bydła, świń i psów, znaleziono doskonale zachowane rogi kozy capra prisca, gatunku już wymarłego. Ciekawemi są groby zwierząt w Złotej, w których dochowały się świetne szkielety różnego gatunku bydła, koni, psów, świń i t. p. Prawdopodobnie zwierzęta te w pewnych warunkach ochraniane były przez wierzenia religijne. Groby zwierzęce w Złotej po zbadaniu przez uczonych wyjaśnią zapewne wiele zagadek z dziedziny pochodzenia zwierząt domowych i odpowiedzią na pytanie czy mamy tu do czynienia z kultem zwierząt.

Pozatem stwierdzono w Złotej istnienie całego systemu pierwotnych fortyfikacyj ziemnych, fos i rowów, nabijanych palisadami, otaczających osiedla. Cała ta warownia zajmuje kilkanaście hektarów ziemi.

Oprócz zabytków z epoki neolitu w Złotej wykryto również ślady życia ludzkiego w dobie pierwszych Piastów, są to jednak zabytki już mniej doniosłe dla nauki.

Wykopaliskami w Złotej zainteresował się i świat naukowy zagranicą.

BIBLJOTEKA ORD. KRASIŃSKICH

W dniu 2-go grudnia r. b., w ostatni dzień Zjazdu Historyków dokonane zostało otwarcie nowego gmachu Bibljoteki ordyn. hr. Krasińskich w Warszawie przy ul. Okólnik 9. Od tego to dnia udostępnione zostało dla wszelkich rzesz naszego społeczeństwa piękne zbiory muzealne i galerja obrazów ordynackich, którem, w 1928 r. na łamach „Rodziny Polskiej" poświęciliśmy więcej miejsca.

Dziś musimy tutaj zaznaczyć, że wzbogacenie naszej stolicy, nietylko pięknym i stylowym gmachem, ale i przepysznym księgozbiorem łatwo dostępnem dla ludzi nauki i rzesz kształcących się, dzięki urządzeniu i organizacji, według najnowszych zdobyczy bibljotekarstwa, w połączeniu z wygodą i konfortem europejskim — jest zasługą ordynata opinogórskiego — hr. Edwarda Krasińskiego.

Nowy gmach utrzymany jest w stylu empire'u tak zewnątrz jak i wewnątrz. Do głównego wejścia wchodzi się po kilku schodach, a nad niem widnieje herb Krasińskich Korwin z rodową dewizą. Imponująco wygląda westibul, w którym jest marmurowa klatka schodowa. Na parterze patrzą na nas ze ścian przodkowie dzisiejszego ordynata w starych ramach, po dwu stronach, stylowo wykute, kraty prowadzące do skarbca. Po kilkunastu schodach wchodzi się do obszernej czytelni, na siedemdziesiąt kilka osób, urządzonej wygodnie i przestronnie. Pod ścianami mahoniowe szafy — to bibljoteka poetyczna, pośrodku — mahoniowe stoły i fotele dla studjujących. Światło górne.

Nad drzwiami wejściowemi do czytelni — tablica, na której odpowiedni napis o fundacji gmachu. Z parteru prowadzą, na dwie strony schody do muzeum i galerji obrazów. Z muzeum najcenniejszą kolekcją jest zbrojownia i zbiór mundurów wojskowych; w tych działach wiele bardzo cennych pamiątek. Galerja niebogata ilościowo, ale, mogąca się poszczycić dziełami pierwszorzędnych artystów, jak Grussi, Lampi, Winterholter itd. i całym szeregiem znakomitych płócien.

O nieocenionych skarbach bibljoteki (w starych aktach, inkunabułach i rękopisach) nie potrzebujemy tu pisać, od dawna już, każdy chcący naukowo pracować, czy interesujący się naszą literaturą, sztuką czy literaturą, ma tam łatwy dostęp, a Ordynat, z rzadką życzliwością i otuchą, oprowadza po niej wszystkich, bo cieszy się, gdy ktoś okazuje zainteresowanie dla ukochanego dzieła, które jest jego szlachetną ambicją.

Nie jest to dzieło zrodzone z wielkopańskiej fantazji, ale, czyn prawdziwego obywatela i dobrego Polaka.

CLAUDE ANET.

W Paryżu zmarł znany pisarz francuski, publicysta i podróżnik Jan Schopfer, z pochodzenia Szwajcar, piszący pod pseudonimem: Claude Anet.

Claude Anet zwiedził spory szmat świata. Znał Amerykę, Daleki Wschód, Persję. W czasie wojny światowej, jako korespondent „Petit Parisien", przebywał w Rosji i poznał dobrze stosunki rosyjskie. Wynikiem pobytu w Rosji był cały szereg ciekawych książek Claude Aneta, wśród których na czoło wybił się romans „Ariana, młoda panna rosyjska", pełen zachwytów wobec kobiety rosyjskiej. „Ariana" była tłumaczona na wiele języków, m. in. i na polski.

Claude Anet dał się poznać również i jako dramatopisarz.

DWIE WYSTAWY

Wśród całego szeregu imprez, urządzonych z okazji stulecia powstania listopadowego, na specjalną uwagę zasługują dwie wystawy, z których jedna została otwartą w stolicy kulturalnego świata — w Paryżu, druga, rozmachem i ilościowo mniejsza od pierwszej, ale, może nie mniej warta wzmianki — we Lwowie. O tych dwuch wystawach chcę dzisiaj kilka słów napisać.

W Tuillerach, w Musee Jeu de Paume, przy placu de la Concorde, od dnia 22 grudnia ub. r. widnieje wielki napis: „Exposition de la Pologne 1830 — 1920 — 1930", której stworzenie jest — w pierwszej linji — zasługą p. Antoniego Potockiego i dyrektora wspomnianego muzeum p. Dezarrois. Celem jej, jaki przyświecał inicjatorom i twórcom, było zilustrowanie przed oczyma świata twórczej pracy narodu polskiego, jaką potrafił dokonać na międzynarodowej arenie w okresie jednego wieku. Dzieli się ona na dwa zasadnicze działy: 1) okres 1830—1920, okres walki orężnej i walki duchowej narodu o swoją wolność i byt niezależny, 2) okres 1920—1930, okres wysiłków celem utrzymania i utrwalenia tego, co naród zdobył, o co walczyły ostatnie pokolenia, od bohaterów z pod Grochowa poczawszy, po heroiczne zastępy żołnierzy polskich z czasów wielkiej wojny i walk późniejszych, legjonów, armij Hallera, Dowbora, czy ochotników 1920 r.

Trudno jest na tem miejscu kreślić dokładnie obraz całej paryskiej wystawy, czy wymieniać, choćby najważniejsze, eksponaty znajdujące się na niej. Na co innego pragnę tu zwrócić uwagę. Na jej wybitne znaczenie propagandowe, znaczenie, które ma wpływ znaczny na kształtowanie poglądów obcych na polską rzeczywistość, na jej aktywność wówczas, gdy Polska zdawała się być na zawsze skreśloną z karty Europy, na jej aktywność dzisiaj, kiedy przestała być, w oczach świata, tylko tą „szlachetną i nieszczęśliwą, bezradną i katowaną". Dowodem jej wybitnego znaczenia może być fakt, że i inne kraje, ściśle związane historycznemi węzłami z Polską, chętnie przyszły z pomocą w urzeczywistnieniu tej imprezy, przesyłając cenne okazy ze swoich państwowych i prywatnych zbiorów. Do tych państw, przedewszystkiem, należą — obok Francji — Węgry, Turcja i Belgja. Jeden tylko dział węgierski tej wystawy, urządzony przez dr. Belę Kossanyi'ego, konserwatora państwowego archiwum w Budapeszcie, obejmuje pięć sekcji. Węgrom zawdzięczamy, że wystawę paryską zdobi przepyszny cykl grottgerowskiej „Polonji", który pierwszy raz opuścił mury Muzeum Narodowego w Budapeszcie i okazał, w całej pełni, potężny talent tego naszego znakomitego artysty nad Sekwaną.

Nie mniejszy — od historycznego działu wystawy — znaczenie ma dział poświęcony ostatniemu dziesięcioleciu naszej państwowości, dział, który daje wymowny obraz naszego kulturalnego i duchowego dorobku w artystycznie wykonanej, plastycznej, mapie, obejmującej przestrzeń 9 m. kw. Mapa ta została sporządzona w warsztatach paryskiej wystawy.

Wystawa paryska, po P. W. K. w Poznaniu, jest jednym z wybitnie dodatnich momentów naszej propagandy zagranicznej, ona sprawi, że "słowo „La Pologne" wreszcie w oczach Zachodu nabierze innego niż dotychczas — właściwego znaczenia", ale, jak słusznie zauważono, że ta wystawa sama nie potrafi naprawić tyle „fałszywych kroków", jakie w tej polskiej propagandzie zagranicznej dokonano, dlatego, od tego dodatniego wysiłku na gruncie paryskim „musi się zaczynać praca, idąca po linji ukazania Polski w należytem świetle, Polski, dokonywujących czynów mocarstwowych, jeszcze przed czasem, gdy się stała mocarstwem".

A, teraz na chwilę przenieśmy się na ziemie południowo - wschodnie naszej Rzeczypospolitej — do Lwowa.

Własnemi siłami i tylko z pamiątek ukrytych w muzeach, archiwach i prywatnych zbiorach Lwowa, stworzoną została w salach Miejskiego Muzeum Przemysłowego, przy Hetmańskich Wałach, „Wystawa Powstania 1830 — 31 r.".

Portrety wodzów i bohaterów, wyblakłe fotografje ówczesnych piękności, nietylko z urody, ale i hartu ducha; pamiątki takie, jak np. mundur pułkownikowski Ignacego Kruszewskiego, płaszcz gen. Kickiego, „Virtuti Militari" Ordona, rękawiczki gen. Rybickiego, kałamarz S. Goszczyńskiego, dalej cały szereg ryngrafów, szabel, broni palnej, ładownic, pierścieni, numizmatów i t. d. i t. d. Widzimy tam ciekawy bardzo zbiór druków, klepsydr, rękopisów, autografów i t. p., wśród których: rozkaz pisany własnoręcznie przez dyktatora Chłopickiego, pamiętnik Anny Sapieżyny, list J. Sierakowskiego i w. in.

Wreszcie na całość wystawy składa się bogaty i piękny dział muzyki i sztuk plastycznych.

W dziale muzyki widzimy na lwowskiej wystawie, cenne i bardzo rzadkie, wydawnictwa pieśni, tańców, piosenek okolicznościowych i satyrycznych i t. d.

W dziale zaś malarstwa i rzeźby, obok dzieł nieznanych artystów (rysunków, miniatur, sztychów i t. p.) o wartości raczej pamiątkowej, jak artystycznej, są dzieła takich artystów,jak Piotr Michałowski (m. in. rysunki tuszem, akwarele, portret gen. Dwernickiego), Juljusz Kossak (olejny obraz „Grenadjer gwardji", akwarele i rysunki), dalej Wojciech Kossak, wreszcie wielki mistrz Artur Grottger. Z dalszych artystów, których dzieła są na lwowskiej wystawie, to Władysław Oleszczyński, Rafał Hadziewicz, January Suchodolski, Alojzy Rejchan, Franciszek Tepa, Młodnicki, Zygmunt Rozwadowski, J. Rosen i w in.

Bardzo bogaty i interesujący jest dział grafiki: akwaforty Kielesińskiego, jedyna akwaforta Tepy, dalej dzieła Redlicha, litografje Głowackiego i litografje według Wł. i S. Oleszczyńskiego, Sonntanga, Loefflera, J. Kossaka.

Z obcych artystów reprezentowani są: Francuz Gerard i malarz wiedeński Fueger, czy graficy, jak Raffet, Deveria, Cozbiet i twórca sztuki litograficznej Seinefelder.

Wystawę uzupełnia, wreszcie, zbiór rzeźb (m. in. Dawida d'Angers) i medaljonów.

Z tego krótkiego opisu wystawy lwowskiej, możemy sobie zdać sprawę o wartości jej; wystawy; która, nietylko jest wyrazem pietyzmu tego kresowego grodu dla bohaterów listopadowego powstania, ale jest, zarazem, świetnie stworzonym, obrazem epoki, jednego z pięknych momentów naszych walk o niepodległość.

Tą wystawą, raz jeszcze, Lwów zaświadczył, że umie godnie czcić pamięć znakomitych ludzi i wielkich chwil naszej przeszłości.

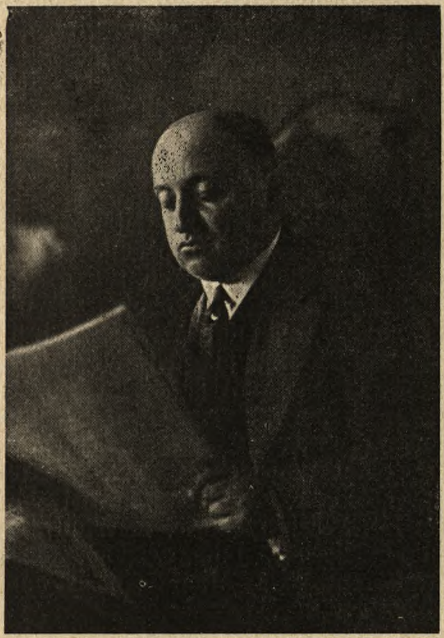
Ax.

Z PISMIENNICTWA

„CIENIE SAMOTNYCH DRÓG".
(Nowe poezje Tadeusza Kończyca).

Tadeusz Kończyc jest nietylko poetą znanym — jest on poetą szczerym, a będąc epigonem godnej swego miana poezji z przed okresu rebusowego gmatwań i skrajnych asonansowań — jest twórcą, wypowiadającym uczucia najszerszych objawów życia przyrody rodzimej. Drgnienie nerwów i tętno krwi stanowią rytm w jego wierszu, a najprostsze niby zjawisko życia staje się dotknięciem struny, serca poety i powstaje utwór niezaprzeczenie poetyczny:

„Szczęście się zatrzymało chwilę
[nad swym domem,
Jak obłok, po niebieskiej płynącej
[równinie!..



Tadeusz Kończyc

Tadeusz Kończyc jest nie pierwszym, ale odrębnym w kręgu swych wzruszeń piewcą polskiej jesieni, a raczej dni jesiennych melancholijnych — boginki z ciemniejącego złota, i smętku — nieradosnych przedśmiertną bujnością, lecz z rzadka przejaśniających się godzin listopada:

„Cichy spokojny złocistej jesieni —
Smętek liści, lecących z drzew —
Melancholja bezleśnych przestrzeni,
Mgieł szarzyzną pokrytych i cieni...
Przejmujący wichurą śpiew:..

To wszystko, a także bławatki, które „kwitną w zbożu złocistem. Kwitną tak jasno, tak błękitnie" — jest obrazem wzruszeń, wzbudzonych nietylko przez rodzime poety krajobrazy nad Pilicą, gdzie zdawian osiedli jego, pieczętującej się Prawdzicem, przodkowie, ale przedewszystkiem w tych wyjątkowo, w obecnych czasach, śpiewnych wierszach odzwierciedla się nastrój ziem najbliższych Warszawie: podwarszawskich, mazurskich równin, owianych zupełnie inną atmosferą od również słowiańskiej, lecz dalekiej i dla nas obcej równinnej przestrzeni Jesienina, z którego opisami, mógłby ktoś sądzić, wiążą Kończyca pewne pokrewieństwa.

Nie poezją epitafium, ale wyrazem szlachetnego uczucia polskiej duszy, zawsze umiejącej znaleźć podnietę ku życiu, jest miłość dla Matki, której pamięć rzewnie Kończyc wspomina.

Dlatego poezje Tadeusza Kończyca można szanować, a dla bardzo wielu, przeniknych uczuciami miłości rodzinnej i ukochania mazurskiego krajobrazu miłem jest przeczytać ten tomik: — „Cieni samotnych dróg".

M. G.

OD KOCHANOWSKIEGO DO STAFFA. Antologja liryki polskiej. Ułożył **Wacław Borowy**. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Str. 378.

— Układanie niniejszej autologji — pisze w przedmowie Wacław Borowy — przeniknięte było pragnieniem zebrania z jednego obszaru poezji polskiej (określonego w tytule) przykładowych rzeczy żywych, mogących znaleźć bezpośredni odzew w duszach dzisiejszych czytelników".

Z tego punktu widzenia: „Rola odegrana przez jakiegoś autora czy utwór w dziejach poezji; pierwszość w zakresie tych lub innych elementów techniki artystycznej, wrażliwość czy ideologja, wszelkie zasługi prekursorskie i propagandowe, wszystko było pominięte. Stanowisko Niemcewicza w historji poezji polskiej jest ważne, jego miejsce w autologji jest stosunkowo małe: taka bowiem jest dziś wartość czytelnicza jego poezji. Niejednego poetę, mającego dobrą kartę w historji literatury, wypadło na tej karcie w milczeniu zostawić. Przykładem Drużbacka — „Dalszą.. zasadę autologji — było wybieranie utworów, które są jednopoziomowemi artystycznie całościami".

„Pozatem — oświadcza redaktor autologji — w sposób praktyczny trzeba było się zetknąć ze wszystkiemi głównemi zadaniami estetyki poezji.., przedewszystkiem z zagadnieniem t. zw. identyczności dzieła poetyckiego. Jeden i ten sam autor istnieje przecież w naszem doświadczeniu w rozmaitych odmianach. Inny jest „Pan Tadeusz", któregośmy czytali mając lat czeternaście, inny „Pan Tadeusz", którego czytamy mając lat czterdzieści".

Dlatego też p. Borowy nie poprzestawał na wspomnieniach dawnych lektur, lecz wszystko czytał na nowo i możliwie wielokrotnie.

„Stąd — pisze — różnica w stosunku do tradycyjnego traktowania niejednego poety. Kajetan Koźmian, którego wychwalanie od jakiegoś czasu stało się modą, nie wszedł do autologji wcale. Reprezentowani natomiast w niej są i świetnemi utworami przemawiają lekceważeni przez historję literatury dotychczas pisarze, jak Grabowiecki, Gawiński, Benisławski, Olizarowski. Uwydatnione są długo pomijane wartości poezyj Kniaźnina. Do długo kwestjonowanej rangi poetyckiej stara się autologja przywrócić Naruszewicza i Szymanowskiego.

W ten sposób w autologji umieścił Wacław Borowy 101 autora. a zbiegiem okoliczności „książka ta, łącząca w tytule nazwisko założyciela poezji polskiej z nazwiskiem wielkiego liryka współczesnego, ukazała w roku, który jako rok jubileuszowy Kochanowskiego, szczególnie sprzyja rozpamiętywaniu jego dziedzictwa i dorobku późniejszych czasów w jego zakresie. Książka ta właśnie chce być próbą przeglądu pewnej części tego dziedzictwa i tego dorobku, próbą podjętą z punktu widzenia zwykłego czytelnika dla zwykłych czytelników".

Z tych słów przedmowy zarysowują się wyraźne cele i zakres autologji Wacława Borowskiego, jednego z najwybitniejszych znawców naszej literatury. Ossolineum zaś wydało tę książkę w szacie wykwintnej.

(Lr.)



W ciągu miesiąca stycznia uwaga całej Polski skupiała się dookoła nowego Sejmu, który rozpocząwszy normalną pracę, znalazł przed sobą oczekujące pilnego załatwienia nader poważne i trudne problemy, tak polityczne jak i gospodarcze.

Pod względem politycznym osią gorącej dyskusji, zarówno w Sejmie jak w Senacie i w ich komisjach (jak również w kołach społecznych), była sprawa wyjaśnienia oskarżeń o karygodne obchodzenie się z najwybitniejszymi politykami opozycji podczas ich uwięzienia w twierdzy brzeskiej.

Zdaniem większości rządowej zarzuty o traktowanie więźniów w Brześciu nie nadawały się do dyskutowania w parlamencie, ale winny były stanowić przedmiot interpelacji do Rządu lub też skarg sądowych, wniesionych przez samych poszkodowanych. Opozycja natomiast dowodziła konieczności wkroczenia władz w tę sprawę z urzędu, podnosząc niemożność wytaczania skarg sądowych przez samych byłych więźniów, którzy jako oskarżyciele nie mieliby prawa udowodnić przysięgą prawdziwość swych zarzutów. W ostatecznem głosowaniu większość odrzuciła wniosek opozycji.

W dziedzinie gospodarczej stanęły przed nowym Sejmem dwa niepokojące znaki zapytania: jak uregulować budżet państwowy, w którym w ciągu szeregu ostatnich miesięcy coraz trudniej było wiązać koniec z końcem a w grudniu r. z. wydatki przewyższyły dochody, oraz jak przeciwdziałać pogłębiającemu się przesileniu gospodarczemu. Po trzechtygodniowych obradach komisja budżetowa Sejmu opracowała budżet państwowy na rok następny (1 kwietnia 1931—31 marca 1932), który w wydatkach jest od budżetu tegorocznego o 84 milj. zł. niższy (2.857 milj. zamiast dotychczasowych 2 941). Jeszcze silniejszą obniżkę przeprowadzono co do spodziewanych dochodów, które ustalone na poziomie wydatków (2 857 i pół milj.) t. j. o 183 i pół milj niżej niż na rok obecny. Obniżka ta liczyła się ze stanem rzeczywistym, iż w obecnym okresie budżetowym dochody okazały się sporo niższe od przewidywań i zamiast spodziewanej nadwyżki budżetowej 98 milj. okaże się przy zamknięciu rachunków pod koniec marca deficyt co najmniej 20 milj., jednakże jest rzeczą prawdopodobną, że i



Premjer hiszpański gen. Berengeuer.

przewidywania dochodów w budżecie przeszłorocznym nie dopiszą. To też w projekcie nowego budżetu przewidziano upoważnienie dla Rządu do obniżenia w razie potrzeby poborów urzędniczych przez zmniejszenie lub całkowite skreślenie 15-procentowego dodatku, przyznanego urzędnikom przed trzema laty. Niezależnie od tego starał się Rząd o ulepszenie budżetu państwowego przez zawarcie pożyczki zagranicznej pod zastaw monopolu zapałczanego (z czem się łączy podwyższenie w najbliższym czasie ceny pudełka zapałek z 7 do 10 groszy), co ulży nieco skarbowi państwowemu i zasili nasz kredyt wewnętrzny, oraz o sfinansowanie robót drogowych przez wprowadzenie nowych opłat od samochodów i autobusów. Obie ustawy zostały już przyjęte przez Sejm.

O ile chodzi o przyjście z pomocą osłabionemu życiu gospodarczemu całego kraju, planowana jest przez Rząd akcja obniżenia cen na wyroby przemysłowe, dalsza opieka specjalna nad rolnictwem oraz jaknajszybsze uruchomienie wiosennych prac budowlanych, aby ulżyć wzmagającej się coraz groźniejszej klęsce bezrobocia.

Na terenie zagranicznym miesiąc ubiegły był okresem ofensywy przeciwko Polsce na terenie Ligi Narodów, prowadzonej przez Niemców, skarżących się na gwałty popełniane w okresie ostatnich wyborów na Górnym Śląsku, oraz Ukraińców, którzy w związku z t. zw. pacyfikacją Wschodniej Małopolski w ciągu ubiegłej jesieni niezależnie od protestów podnoszonych w polskim Sejmie i Senacie zwrócili się także ze skargą do Ligi Narodów. Skarga ukraińska nie była jeszcze przedmiotem rozważań genewskich, natomiast skarga śląskiego Volksbundu, silnie popierana przez rząd niemiecki, stanęła na porządku dziennym styczniowej sesji Rady Ligi Narodów. Niemcy zamierzały w związku z tą sprawą rozpocząć już oficjalnie kampanję o rewizję granicy z Polską, wobec jednak nastrojów panujących w Europie musiały ograniczyć się jedynie do forsowania skargi Volksbundu, wysuwając przytem tak daleko idące żądania, jak wysłanie do Polski międzynarodowej komisji śledczej i wymaganie od Rządu polskiego zarówno rozwiązania Związku Powstańców Śląskich (jako głównie oskarżanego

o gwałty wyborcze) oraz dymisji wojewody śląskiego p. Grażyńskiego. Żądań tych atoli nie udało się Niemcom przeforsować. Przyjmując do wiadomości wyjaśnienia p. Ministra Zaleskiego, że stwierdzone fakty nadużyć śląskich są przez Rząd polski badane i winni będą ukarani a pozkodowanym będą straty wynagrodzone, Rada poprzestała na stwierdzeniu, że powinien ustać związek między władzami polskiemi a Związkiem Powstańców i zażądaniu od Polski, aby na sesji następnej (majowej) przedstawiła, w jaki sposób sprawa została na terenie śląskim załatwiona.

Styczniowa ofensywa niemiecka w Genewie przeciwko Polsce nie doprowadziła zatem do dalekich celów, jakie sobie wytknęli początkowo jej inicjatororzy, niemniej jednak była ona już poważną bitwą dyplomatyczną i stanowi poważne memento dla Polski, wskazując na rosnące trudności naszego położenia międzynarodowego i na coraz bardziej zdecydowaną politykę sąsiada od zachodu. Przedstawiciel Niemców w Genewie p. minister Curtius oświadczył już zupełne wyraźnie, że antypolskie wystąpienia członków rządu niemieckiego oraz wybitnych polityków nie są wcale tak „nieodpowiedzialne", za jakie je ogłaszano (innemi słowy, że są częścią składową oficjalnej polityki niemieckiej), z nadchodzących zaś z Niemiec doniesień widzimy, że kurs antypolski coraz bardziej się tam pogłębia. Wśród polityków na czoło wybija się stanowisko przywódcy centrum katolickiego Kaasa (po śmierci Stresemanna kontrkandydata p. Curtiusa do objęcia teki spraw zagranicznych), który przy każdej sposobności podnosi żądania rewizjonistyczne Niemiec, ostatnio zaś zupełne nedwuznaczne zwrócił się z ofertą do Francji, aby za cenę własnych korzyści porzuciła obronę sprawy polskiej. Z przykrością też stwierdzić należy, że centrum niemieckie, mimo haseł katolickich jakie ma w programie, w stosunku do Polski zajmuje stanowisko nie ustępujące pod względem agresywności skrajnym szowinistom. Niemcy zaś oficjalnie dały wyraz dobitny swym zamiarom przez dokonany z początkiem stycznia, jak gdyby na przygotowanie kampanji genewskiej, objazd kanclerza Brueninga, graniczących z Polską obszarów: Prus Wschodnich, niemieckiego Pomorza oraz Górnego Śląska.

Podróż p. Brueninga odsłoniła w całej pełni dwoistość prądów, burtujących w tej chwili społeczeństwo niemieckie: z jednej strony wzrastający i forsownie rozdmuchiwany szowinizm przeciwpolski, z drugiej strony pogłębiająca się katastrofa gospodarcza, odbijająca się w coraz większych falach strajkowych i w coraz ostrzejszem radykalizowaniu się mas. W czasie podróży po Prusach Wschodnich a zwłaszcza po Śląsku Opolskim p. Brueninga spotykały wrogie okrzyki tłumów robotniczych, witających go jako „Hunger-Diktator" (dyktatora głodowego) i urządzających wrogie demonstracje, z trudem hamowane przez policję.

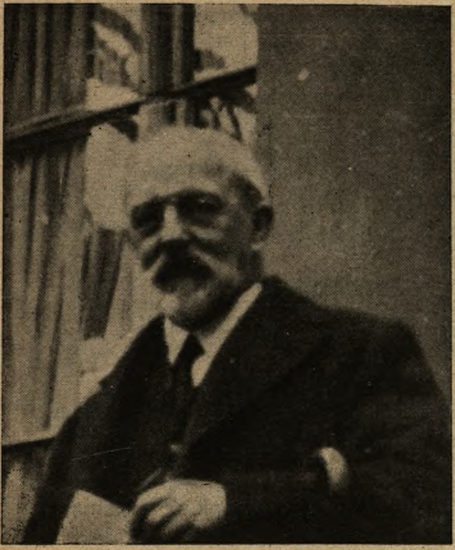
W parlamencie zaś francuskim uwagę całej Europy zwróciło oświadczenie jednego z posłów, iż w graniczących z Polską obszarach niemieckich znajduje się 400 000 uzbrojonych hitlerowców, gotowych na wszystko — równie dobrze do marszu na Berlin jak do zaatakowania granicy polskiej.

Z kryzysu gospodarczego wzmagają się w Niemczech siły wywrotowe, z jednej strony komuniści, z drugiej kierunek Hitlera, który sam określił swoją partję jako również komunistyczną, tylko z odcieniem skrajnie nacjonalistycznym i zdecydowanie odwetowym w stosunku do polityki zagranicznej. A zatem dwa wulkany, z których ten drugi gotów do awantury nietylko wewnątrz ale i zewnątrz kraju.

Równocześnie zaś na stosunek Niemców do Polski jaskrawe światło rzuca parę odbytych w ostatnim miesiącu procesów sądowych. W Prusach Wschodnich toczył się proces o spalenie szkoły polskiej i sam prokurator całkiem niedwuznacznie występował w roli obrońcy napastników. W Lipsku przeprowadzono sprawę sądową przeciwko aresztowanemu pod Opaleniem w maju r. z. oficerowi polskiej straży granicznej p. Bierzyńskiemu. Było to zajście głośne na całą Europę, gdyż Niemcy, zwabiwszy na swoją stronę granicy dwuch oficerów polskiej straży granicznej, jednego z nich zastrzelili, drugiego aresztowali; obecnie zaś wydali wyrok, skazujący p. Biedrzyńskiego z powodu naruszenia granicy i pod zarzutem szpiegostwa na — 10 lat ciężkiego więzienia. Ale i na tem nie koniec. W dniu 8 stycznia kilka samolotów polskich zabłądziwszy wskutek mgły znalazło się nad Opolem, a jeden z nich zmuszony był lądować; Niemcy zaaresztowali polskich lotników i wytoczyli im proces, zakończony zasądzeniem na 2 tygodnie aresztu za „bezprawne przekroczenie granicy" bez.. paszportów. Traf chciał, że w wigilję dnia w którym odbywał się proces opolski, nad Wolsztynem w Poznańskiem ukazała się eskadra samolotów niemieckich, z których jeden musiał lądować. Władze polskie dotychczas tolerowały podobne wypadki a zdarzyło się ich po wojnie siedem) i nie czyniły zabłąkanym lotnikom niemieckim żadnych trudności; tym razem wobec stanowiska Niemców wypadnie chyba władzom polskim wytoczyć lotnikowi niemieckiemu również sprawę sądową.

We Francji doszło znowu do przesilenia rządowego. Gabinet p. Steega, rozporządzający bardzo nieznaczną (tylko 6 głosów) większością w parlamencie, doznał porażki w izbie z okazji zamierzonego podwyższenia cen zboża dla ulżenia kryzysowi rolniczemu, co wywołało opozycję na lewicy. Na czele nowego gabinetu stanął p. Laval, który odmiennie od p. Steega, opierającego się na stronnictwach centrum i lewicy, wybrał dla swego rządu podstawę centrowo-prawicową, tę samą na jakiej do niedawna rządził p. Tardieu, kótry też wszedł do nowego gabinetu jako minister rolnictwa. Nowy rząd przedstawia się silniej od poprzedniego, gdyż większość, jaką go przyjęto w parlamencie, wynosi 54 głosy. Charakterystyczną osobistością nowego gabinetu jest jego szef, człowiek z ludu i samouk, którego gdy miał lat 15 przechodzący ksiądz zastał na polu z książką w ręku, a zobaczywszy, że chłopak wiejski czyta.. Tacyta po łacinie, oddał go do szkół. Za młodu niemal komunista, później socjalista, obecnie jest p. Laval bezpartyjny Drugą ciekawą osobą w nowym rządzie jest wiceminister kolonij p. Daigne — murzyn z Senegalu, pierwszy czarnoskóry, który wszedł w skład rządu państwa europejskiego. Oto znamienny rys demokracji francuskiej.

Z wielkiemi natomiast trudnościami połączony jest powrót na drogę demokratyczną Hiszpanji. Grudniowa rewolucja, choć nieudana, była jednak groźnem ostrzeżeniem, iż dla uspokojenia umysłów konieczny jest powrót kraju na drogę konstytucji i rząd też wyciągnął z tego konsekwencję, rozpisując na 1 marca wybory do parlamentu, od lat siedmiu zawieszonego. Stronnictwa jednak opozycji zapowiedziały zbojkotowanie wyborów. Wobec tego przed królem Alfonsem stanęło do wyboru: utrzymanie obecnego rządu z genera-



B. premjer francuski Steeg.

łem Berenguerem na czele albo też uczynienie zadość nastrojom opozycyjnym w kraju i powołanie rządu kompromisowego.

W kierunku kompromisu zmierza też rozwiązanie przesilenia indyjskiego—jakkolwiek na razie bez konkretnych rezultatów. Obradująca w styczniu w Londynie konferencja „okrągłego stołu", w której obok rządu brytyjskiego wzięli udział delegaci Hindusów, nie doprowadziła do żadnych konkretnych wyników, jakkolwiek stanowiła już pewnego rodzaju złagodzenie stosunków. Dalszym złagodzeniem będzie zapewne wypuszczenie przed kilku dniami z więzienia słynnego przewódcy ruchu ndyjskiego Gandhiego, którego z entuzjazmem witał w Bombaju 200-tysięczny tłum. Jak dotąd, Hindusi obstają przy swym programie autonomicznym, na pierwszy plan wysuwają na razie żądanie uwolnienia 50.000 więźniów politycznych.

WAmeryce odbyła się w styczniu jedna rewolucja — w Panamie. Z tej okazji jedno z pism zagranicznych ogłosiło ciekawą statystykę. Okazuje się z niej, że z pośród 20 (poza Stanami Zjednoczonemi) republik amerykańskich w ciągu ostatnich 30 lat 1901—1930 jeden tylko Urugwaj obywał się bez rewolucji, w pozostałych zaś 19-tu było w tym czasie nie miej jak 119 rewolucyj. Na czele idzie Meksyk z 24 rewolucjami w ciągu 30-lecia; w ostatnich latach dziesięciu jedynie rok 1924 i 1926 przeszły w Meksyku bezrewolucyjnie. Drugie miejsce zajmuje Guatemala z 11 rewolucjami oraz Paragwaj (także 11), potem Ekwador i Boliwja z liczbą 7 rewolucyj i t. d. Panama stoi na samym końcu, dyż miała tylko 2 rewolucje, a obecna jest trzecią. Ciekawe jest przytem pewne wzmaganie się „tempa": w 10-leciu pierwszem (1901—1910) było w Ameryce 27 rewolucyj, w następnem (1911—1920) już 36, w ostatniem (1921—1930) aż 56, z tego 19 w pierwszem 5-leciu i 37 w drugiem. Rok 1930 zaznaczył się rekordową ilością 19 rewilucyj — w każdej republice po jednej, co niewątpliwie stoi w związku z ogólnoświatowem przesileniem gospodarczem. W każdym razie w ustroju republik środkowej i południowej Ameryki rewolucje stają się rzeczą coraz bardziej normalną i tak jak ciężkie położenie gospodarcze — „ustabilizowaną".

Na zakończenie parę jeszcze słów o sprawach niepolitycznych. W dziedzinie sportu lotniczego pamiętną będzie data 11 stycznia 1931, gdy eskadra 12 samolotów włoskich pod dowództwem ministra lotnictwa gen. Balbo zakończyła lot z Rzymu przez Afrykę południową do Brazylji. Ten zbiorowy (12 samolotów) przelot Atlantyku — i to w tym tak znanym z trudności kierunku ze wschodu na zachód — okrył triumfem i radością całe Włochy, jednakże nie obył się bez ofiar, kilka bowiem samolotów uległo w drodze zniszczeniu i 5 lotników poniosło śmierć. W ciągu ostatnich 4 lat Atlantyk pochłonął 29 ofiar zabitych lub bez wieści zaginionych lotników; najkrwawsze żniwo było w r. 1927 (17 ofiar), r. 1928 przyniósł już tylko 3, r. 1929 — 4 (w tej liczbie ś. p. major Idzikowski), rż 1930 obył się bez katastrofy Bądź co bądź postęp, choć okupywany ofiarami z życia ludzkiego, obywa się jednak coraz mniejszą ilością ofiar niepotrzebnych.

Jedną taką ofiarę ręka Opatrzności zdołała w porę zatrzymać. Głośna na cały świat ze swego brawurowego przelotu do Australji w r. z. młodziutka lotniczka angielska Amy Johnson postanwiła dokonać w zimie przelotu z Anglji do Japonji — ponad Syberją i to sama jedna. Przedsięwzięcia tego jednak, równającego się pewnej śmierci, zmuszona była zaniechać z powodu prześladujących ją raz po raz defektów motoru. Miss Johnson dotarła do Warszawy, skąd po długiem wyczekiwaniu zdecydowała się powrócić do Anglji.

Okres zimowy na naszej półkuli (w przeciwieństwie do półkuli południowej, gdzie jest w tej chwili lato) zezwala poza sportami zimowemi na jedną tylko imprezę sportową: jest nią odbywany co rok raid gwieździsty samochodów, zjeżdżających się ze wszystkich krańców Europy do Monte Carlo. W tym roku po raz pierwszy w gronie zwycięsców raidu znaleźli się także Polacy. Hr. Potocki na samochodzie Tatra Oświęcim uzyskał w ogólnej klasyfikacji 15-te miejsce, ale miejsca poprzednie przypadły wszystkie uczestnikom raidu jadącym z północnej Norwegji i mającym o wiele łatwiejsze warunki drogi od maszyny polskiej, odbywającej raid z Jass w Rumunji przez Polskę, Niemcy, Beglję i Francję i uzyskującej wśród wszystkich maszyn tą drogą zdążających do Monte Carlo zaszczytne pierwsze miejsce. **M. G.**



Wróżka-Zima las białym welonem okryła.

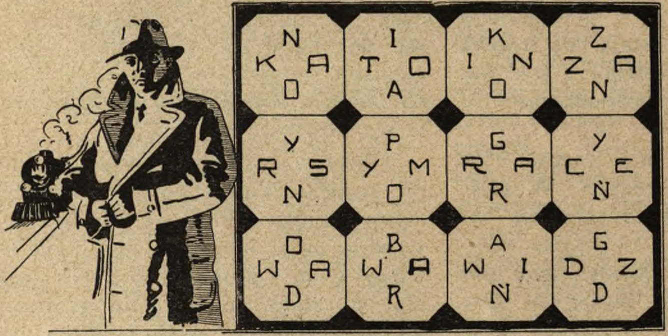
KĄCIK ROZRYWKOWY

pod kierownictwem Klubu Szaradzistów.

W n-rze niniejszym dadajemy dalszy ciąg konkursu. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie trzytygodniowym po wyjściu numeru, pod adresem „*Rodzina Polska*" Warszawa — Krakowskie Przedmieście Nr. 71, z dopiskiem „*Kącik rozrywkowy.*" Szczegółowe warunki konkursu ogłoszone były w poprzednim numerze.

ZADANIE TAFELKOWE.

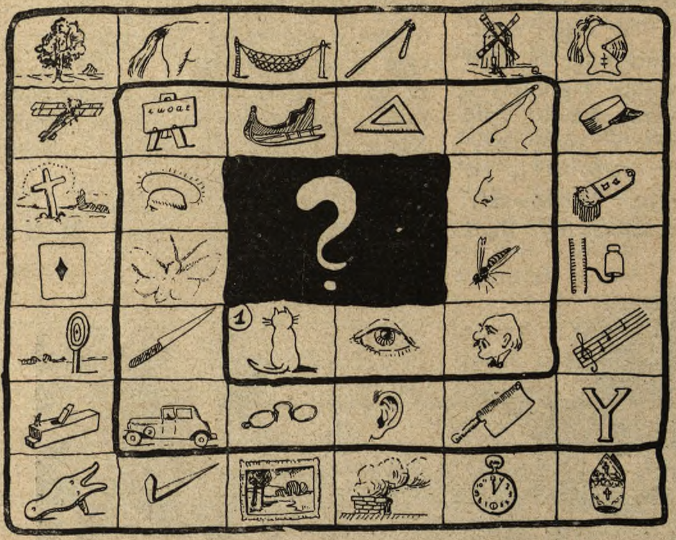
Ul. *J. S.* za rozwiązanie 2 punkty.



12 tafelek tak poprzestawiać aby można było odczytać poziomo 3 a pionowo 4 nazwy miast polskich.

ZAGADKA OBRAZKOWA.

Ul. J. Stratilato.
za rozwiązanie 3 punkty.



Posuwając się spiralnie od kratki oznaczonej liczbą 1, jak wskazują grube linje, odczytać przysłowie, które powstanie z pierwszych liter podanych tu rysunków.

LOGOGRYF.

Ułożył Estezet. Za rozwiązanie 8 punktów.

Nowoczesny *pierwszy* sieje ziarna nienawiści,
niby *drugi* budząc baczność wielu ludów świata;
szczęścia mu *trzy* ten, co plany swe w zamęcie iści,
a od Koli aż po *czwarte* słynie z roli kata.

Nie dziecinny jest to *piąty*, liczony w tysiące,
z których liczby i sukcesów *szósta* też jest rada;
i nie będzie *siódmem wcale, gdy te ptaki lśniące*,
to powietrzne *ósme* stworzą *dziewięć* u sąsiada

Na *dziesiąte*, na Warszawę, New Jork lub Lizbonę,
gdy start to nie *jedenasty* przestworzy rycerza,
oczy świata z niepokojem są zawsze zwrócone,
nieb pytając, których ogrom śmiałek już przemierza:

Zali laury on *dwanaście, zali też trzynastym*
śmierci będzie; ten *czternasty* i nas dotknął smutnie,
kiedy podjął lot podniebny, gardząc życiem własnym,
Idzikowski, chąc *piętnaste* do sławy wziąć butnie.

Więc *szesnasty* kiedy świata dzisiaj tak się ścieśnia,
że tam, kędy *siedemnasty mieszka to krok jeden*,
zdałoby się, że *ośmnaście* już się ucieleśnia,
jest wszędy *dziewiętnaście*, i jest wszędy eden.

Gdy postępu i kultury gościńce się szerzą,
czyż to jeno jest *dwudziesty* w rozwoju ludzkości,
że, tam nawet, gdzie drapieżce jeszcze swe kły szczerzą,
gdzie *dwudziesty pierwszy*, Bengal albo Sjam, ich włości,

już dociera dziś samolot, radjo, elektryka.
Wszak *dwudziesta druga* tego nie stworzyła chora!
A wciąż „lupus" w ludzkiej skórze i nienawiść dzika
mówię, że wspak *dwadzieścia trzy* nie nadeszła pora;

że kwiat zgody, chociaż piękny, jak *dwudziesty czwarty*,
jak *dwudziesty piąty* zginie, gdy się sad oczyści,
gdzie moc kwiatów ludzkość chowa, lecz ten mało warty,
bo chociaż *dwadzieścia sześć* jest, nie niesie korzyści.

Chyba, że to radża, lub *dwudziesty siódmy*, władca
egzotyczny, co w swym skarbcu ma drogich kamieni,
jak *dwudziesty ósmy* pestek; niejeden doradca
wnet, w *dwadzieścia dziewięć* wpadłszy, przyjaźń jego ceni

Jest *trzydziesty* posterunek każdy w polityce,
kiedy z niego *wspak trzydzieści jeden* znaczne zyski,
czy *trzydzieści dwa* to będzie, Mekka czy Gliwice.
Chińczyk, Arab, Negr. Indjanin, każdy nam jest blizki.

Trzydzieści trzy ilustruje w prasie te wypadki;
czasem wyjdzie przysłowiowe *trzydzieści i cztery*
na wierzch, wtedy *trzydzieści pięć* spotyka nierzadki
niezręcznego polityka, co był zbytnio szczery.

Że niejedno *trzydzieści sześć* techniki i wiedzy
w polityki dziś wciągnięto sferę — nie dziwota:
państwo państwu to *trzydzieści siedm* jest, co na miedzy
swej *trzydzieści ośm* ustawia i strzela z za płota.

Więc do mórz i oceanów jeszcze wiele wody
wpłynie i ożywczą rosą na padół powróci,
nim *trzydzieści dziewięć* z Kremlem nie zerwie ugody,
nim zamysłów odwetowych Hittler nie porzuci.

Sylaby do logogryfu: Po ułożeniu odpowiednich wyrazów — pierwsze i ostatnie litery czytane z góry do dołu, dadzą rozwiązanie. A, a, ain, an, ar, ar, ąng, ąic, ba, ba, buz, cum,czy, cy, cy, chań, cja, do, dej, dło, dzie, E, e, e, e, ed, eks, far, fek, giz, gi, gus, I, i, in, ja, jun, je, kier, ki, kret, kir, la, le, log, łu, ło, ma, męt, ma, Na, na, ne, no, ne, nek, nu, Nor, ob, op, pa, pem, pi, pra, piej, pi, pał, pti, ry, ru, rze, ru, ry, se, szar, szy, sa, stra, tarz, tal, truz, to, to, typ, ta, ter, tal, u, wal, wań, wich, wa, wny, wo, więc, y, za, za, zbie, zod, żny, ży,

DZIAŁ KOBIECY

DLA DUSZY.

Wielu ludzi słabych i niedołężnych powiada: Oto szczęśliwe życie tego człowieka! patrz, jak bogaty! jak wielki! jak potężny! jak sławny. Lecz zważaj na dobra niebieskie, a ujrzysz, że wszystkie te rzeczy doczesne niczem są; tem bardziej, że są niepewne i uciążliwe, bo nikt ich nie posiada bez troski i bojaźni.

Nie na obfitości rzeczy doczesnych polega szczęście człowieka; a mierność takowych wystarcza mu.

Zaprawdę, żyć na ziemi jest wielką nędzą.

Im bardziej człowiek chce się doskonalić w duchu, tem bardziej doczesne życie gorzkiem mu się staje; ponieważ lepiej czuje i jaśniej widzi nędzę ludzkiego skażenia. Albowiem jeść, pić, czuwać, spać, odpoczywać, pracować i innym potrzebom ciała podlegać, wielką zaiste jest nędzą i zasmuceniem dla człowieka pobożnego, który by rad być wolnym od więzów ciała i od wszelkiego grzechu.

„O naśladowaniu Jezusa Chrystusa“

Tomasz à Kempis.

KOPIEC HENRYKA SIENKIEWICZA

Wielkie miasto, stolica, skupia Rząd, ogniskuje naukę, ogromadza i wartościuje interes kraju, reguluje stosunki ekonomiczne, ale żadne miasto nie jest pełnem obrazem fizjonomji duchowej swego narodu, i jego duszy.

Duszą kraju jest zawsze — prowincja i dopiero wtedy wszelka inicjatywa jest pełna dodatnich wyników, jeśli cały kraj dopomaga do ich urzeczywistnienia.

Niedalej mieliśmy tego żywy dowód, jak przy końcu ubiegłego roku w obchodzie uczczenia Powstania Listopadowego i złożenia hołdu bohaterom, którzy krwią ofiarną, pragnęli wyratować ojczyznę z niewoli, kiedy stanął cały kraj, dokumentując swoje: *Jestem.*

A przecież działo się to przed stu laty. To też pełną wzruszenia była chwila, w której na zew dzielnego naszego prezydenta Zygmunta Słomińskiego i inicjatora obchodu narodowego, zjechali się delegaci ze wszystkiej Ziemi naszej.

Przewodniczący zebrania wywoływał przyjezdnych z kolei. A więc odpowiadali:

— Wilno — już ma Komitet zawiązany.

— Lwów — nie zawiedzie.

— Toruń — gotowy.

— Kraków — nie opóźni się.

— Poznań — pracuje.

— Ostrołęka — od dwu i pół roku już czyni przygotowania do uroczystego obchodu.

— Warta — pragnie uczcić Piotra Wysockiego, postawieniem szkoły jego imienia w jego rodzinnem mieście.

— Igań — już ma postawiony pomnik jako hołd dla bohaterów, czeka daty na jego poświęcenie.

— Grochów — zbiera szczątki poległych, aby spoczęły pod głazem, do którego będzie wiodła aleja olchami sadzona.

— Wola — szuka zwłok Sowińskiego, któremu stawić musi pomnik.

Cały kraj działał wspólną a szlachetną ożywiony myślą i czego nie zdążył w całej rozciągłości spełnić na razie — dotrzyma.

A oto, w tej chwili, kiedy jesteśmy przytłoczeni i moralnymi i materjalnymi warunkami, z którymi jednak walczyć musimy aż do zwycięstwa, przychodzi do nas z *prowincji* ożywcze tchnienie.

Przekonywamy się, że są ludzie, są grupy, są szerokie warstwy, które umieją, po za troską wyczuwać potrzebę idealnych pierwiastków, tak niezbędnych dla skrzepienia ducha.

Ludzie, którzy oceniają wartości i dorobki intelektualne, którzy wierzą w siłę szlachetnych porywów i chcą spłacić dług temu, który był narodu siłą, podczas jego długiej niewoli. Temu który obrazami przeszłości, świetnej, wielkiej, potężnej, kładł mimo tej niewoli, podwaliny pod zdobycze nowej Polski wolnej, znowu takiej, jaką być musi, znowu świetnej, wielkiej i potężnej, bo taka być powinna.

Ci ludzie, w osobach inicjatora ks. Dr. Kresa, obywateli: przedstawicieli ziemiaństwa pp. Stefanowej J. Dmochowskiej, B. Kamińskiego i W. Janasza, — przybyli z ziemi łukowskiej aby w siedzibie Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy polskich zebranym, na Ich przyjęcie członkom Towarzystwa przedstawić projekt:

Usypanie *kopca Henryka Sienkiewicza* w Woli Okrzejskiej, gdzie twórca wiekopomnej Trylogji, przyszedł na świat, proponując współpracę nad urzeczywistnieniem tak pięknego dzieła, co oczywiście, z gotowością było przyjęte przez zebranych.

Komitet miejscowy jest już zorganizowany. Sprawa w całości, w ogólnych zarysach nakreślona.

Kopiec ma sypać cały Kraj.

Komitet ogólny z siedzibą w stolicy będzie niebawem ogłoszony.

Kopiec ma stanąć w Woli Okrzejskiej w pobliżu mogiły, matki wielkiego pisarza.

Obok zaś będzie zbudowany dom dla pisarzów polskich, stanowiący niejako strażnicę dla dzieła wszystkich synów polskiej ziemi, ich rękoma usypanego.

Ze słów inicjatorów biła zdecydowana wiara w urzeczywistnienie pięknego zamierzenia. Jesteśmy pewni, że je wykonają.

Zwracamy się też z gorącym apelem do kobiet polskich, aby przejęte spełnieniem zadania godnego szlachetnego narodu, jako objawu czci i wdzięcznych uczuć serc naszych dla Henryka Sienkiewicza, stanęły wszystkie z czynem ofiarnym, jakiego będzie wymagało to wielkie dzieło.

Znów cały kraj musi powiedzieć: *Jestem.* Właśnie dlatego, że gromadzą się nad nami chmury, właśnie dla tego, że troski o dobro ogólne nas przygniatają, musimy do dusz i serc dać dostęp jasnym, słonecznym promieniom takich oto myśli i czynów, jakie nam przysyła ziemia Łukowska, bo one są wyrazem wiary w nasze duchowe zasoby, które nas utrwalają w przeświadczeniu, że co „nieśmiertelne musi żyć“ i co wieczyście żyć będzie, jeśli je otoczy nasza wielka miłość.

L. Kotarbińska.

Pani domu w dużem mieście i małem miasteczku

Rzadko się składa, aby warunki jakiemi rozporządzamy w zupełności odpowiadały naszym gustom lub upodobaniom. Dlatego winy własnych niepowodzeń, czy napotykanych trudności doszukujemy się zwykle w przyczynach zewnętrznych, nigdy nie poddając analizie siebie samych.

A możeby taki krytycyzm przyczynił się niejednokrotnie do uniknięcia wielu konflików lub zabezpieczył przed lekkomyślnem roztrwonieniem sił własnych i drogiego czasu.

Ta obserwacja sprawdza się klasycznie przy ocenie warunków gospodarki domowej w wielkim mieście i na oddalonej cichej prowincji.

Niejedna z pań domu, w małem miasteczku, uważa się z istotę upośledzoną, skazaną na egzystencję poza nawiasem życia. Dom swój uważa, że jest na znacznie niższym poziomie od przeciętnego domu mieszkańców wielkich miast. A to przeświadczenie, rozgrzesza daną jednostkę w jej własnych oczach z wszelkich przewinień osobistych, i stwarza pewną bierność, tę najgorszą towarzyszkę każdego życia.

Dla wyrobienia w sobie należytego pojęcia o warunkach pracy w wielkiem mieście i na prowincji, dobrze jest rozpatrzeć wszelkie dobre i złe strony zarówno w jednym, jak i w drugi mwypadku.

Błogosławiony na prowincji jest przedewszystkiem *czas*, którego zawsze na wszystko wystarcza, który zda się sprzymierzeńcem człowieka, gdy w wielkiem mieście jest nieledwie jego wrogiem, za którym stale trzeba być w pościgu. Jest to wynikiem znacznie wolniejszego *tempa życia* na zewnątrz. Przeciętny dom rodzinny w małem mieście wolny jest od alarmujących dzwonków, interesantów, telefonów i t. p. Nie wyczuwa się gorączkowego *rytmu miasta*, który poszarpać może najzdrowsze nerwy.

Kobieta jedynie w wypadkach odosobnionych zatrudnion jest *pracą zarobkową*. Zazwyczaj jej obowiązki, a często i zainteresowania nie wychodzą poza obręb domu rodzinnego, któremu całkowicie czas swój poświęca. Ważnym czynnikiem w unormowaniu jej życia codziennego jest *służba domowa*, która jak dotąd, z małymi wyjątkami, inaczej przedstawia się na prowincji, aniżeli w wielkiem mieście. Jest przedewszystkiem łatwiejsza do zdobycia, nieco tańsza, mniej wymagająca, a tak samo, niestety, jak w miastach dużych niewykwalifikowana.

Jeśli chodzi o *warunki ekonomiczne* — to i one także na prowincji mniejsze nastręczają trudności. Przedewszystkiem sposoby aprowizacyjne są bardziej uproszczone. Zakupy wielu produktów uskutecznia się raz na tydzień w dnie targowe przez co zyskuje się na wadze, jakości towaru, a nawet cenie. Inne towary codziennego użytku jak: pieczywo, mleko, są dostarczane do domów, a o tem udogodnieniu gospodarczem miasto długo jeszcze marzyć będzie bezskutecznie.

A kwestja *dzieci*, czyż nie znacznie łatwiej rozwiązuje się na prowincji. Mają one ogródki przed domami, obszerne podwórka z placami do gier, a jeszcze lepiej bliskość pól — co odciąża matki od sakramentalnych spacerów „dla zdrowia", które w wielkiem mieście są najczęściej źródłem infekcji dla dziecka, a tortur dla matki.

Gdy więc sumiennie zanalizować warunki życia kobiet na prowincji i w mieście, to wynika, że niema powodu do twierdzenia, iż którakolwiek strona jest w warunkach uprzywilejowanych. Kobieta bez inicjatywy i o słabej energji na prowincji, zawsze zdobędzie warunki do... wegetacji. Natomiast w mieście dużem, kobieta z energją i inicjatywą może znaleść trud przechodzący jej siły, tak fizyczne, jak i moralne. Wegetować nie może, bo ją wielkie miasto — zmiażdży.

A przecież ta prowincja rośnie i rozrastać się będzie bardzo szybko. I trzeba przewidywać, że tempo życia się zmieni. Że równocześnie z zamierzoną i oddawna omawianą elektryfikacją kraju, że ze wzmożoną siecią linji kolejowych, z uregulowaniem żeglugi rzecznej i kanałów, a więc ożywienia handlu, prowincja nasza prędko dogoni nas właśnie w tych niedogodnych warunkach pracy, błogosławiąc jednak ulepszenia kulturalne, z których korzysta miasto.

Może niedługo przyjść czas, że raptowny rozwój, boć bieżący zastój, nie może trwać wiecznie, znajdzie nas nie przygotowane do nowego tempa. Dlatego zwracamy uwagę pań domu małych miasteczek i osad aby zawczasu myślały o pewnej reorganizacji wewnętrznej swych domostw, co jest tematem zjazdów, narad i pracy wielu kobiet w stolicy. Domy nasze, to nasze twierdze. Musimy myśleć o nich z rozwagą, reformować według wymagań czasu i wierzyć, że nie będzie domów ani upośledzonych warunkami, ani odsuniętych na drugi plan w pochodzie kulturalnym, jeżeli panie domu będą się starały utrzymać ich dobro w pierwszych szeregach i na pierwszych planach.

Marja Ankiewiczowa.

Podróż na „Puławskim" z Gdyni do Ameryki

Mgła. Strom. Zawierucha. Halifax. New Jork. Montreal. Instytut Radowy. Święta i bazar.

Obiecałam — dotrzymuję.

Trochę późno — ale święta i obowiązki polskiego domu, który musi być reprezentacyjnym, tyle pochłonęły czasu, że dopiero teraz, po Trzech Królach mogę zabrać się do pisania.

Wyjechałam z Gdyni—prawie chora. Czemu zaraz na morzu ozdrowiałam — sama nie wiem. Ale to co wam opiszę — niejednego właśnie przyprawiało o straszną chorobę.

Otóż, już w Kopenhadze owinęła nas taka mgła, że musieliśmy stać w miejscu prawie całą noc. Syreny tylko ryczały jak opętane, odwracając katastrofę, której właśnie ofiarą padły angielskie i belgijskie statki w tej zawierusze. Poranek rozjaśnił horyzont, a opływając Szkocję od północy, mogliśmy już podziwiać strome i skaliste wybrzeża Anglji i jej wysp. Cztery dni spokoju. Aż, naraz, wichura i... strom. Przez pięć dni przewalały się hukiem kilkopiętrowe grzywiaste olbrzymy i okręt wspinał się na nie z trudem po to, aby z trzaskiem i łomotem wpadać w otwierającą się przed nim przepaść morską.

Czułam się doskonale. Nawet trzymając się barjery

poszłam na rufę, to jest na tył okrętu, gdzie statek się najwięcej kołysze, ale jest najpiękniej. I to piękno tak groźne nie było wcale przerażające i trzeba było sobie uprzytomnić tę przestrzeń bez końca, po której nasza łupinka z takim mozołem torowała sobie drogę, aby pojąć cały genjusz człowieka, który sprawił, że mimo burzy i huraganów, mimo fal rozhukanych, czuliśmy się bezpieczni i spokojni. Ocean robił wrażenie pustyni szaro-stalowej, na której rysowały się góry ze śnieżnymi szczytami pian, mieniących się czasem szmaragdowym odcieniem swych głębi.

Czasami przez zwały chmur przebijało się nieco światła, które rzucało połyski na fale i dawało złudzenie jakichś srebrnych jezior w górskich dolinach.

Jakże wtedy czuje się swoją nicość fizyczną a jak podziwia się wielkość ducha ludzkiego.

Oto, jednak szliśmy przez te przestworza, powoli ale ciągle naprzód ku swemu celowi.

Trzynastego dnia, to znaczy, z dużym opóźnieniem, zawinęliśmy do pierwszego portu na brzegu amerykańskim — Halifaxu.

Tam część pasażerów wysiadła, a my ruszyliśmy na noc do N. Jorku.

I znów rozszalała się burza, śnieżna tym razem. Znów ogłuszający rozlegał się ryk syren naszego i nienaszego okrętu, bo przy brzegu najłatwiej, w takich razach, o katastrofę, aż naraz: huk, trzask, targanie statkiem tak okropne, że już mieliśmy wrażenie nieszczęścia, które, minęło nas, chwalić Boga.

Dwa statki musiały dawać kontrparę, aby uniknąć spotkania i rozbicia, o czem dopiero nazajutrz, kiedy już morze było spokojne i słońce świeciło jasno, dowiedzieliśmy się od kapitana.

New Jork cudowny w swoim ogromie, huczący jakimś tytanicznym tętnem, pełen blasku i świateł. New Jork, Moloch, oszałamiający swoim rozpędem, zbytkiem i bogactwem.

A potem już dom w Montrealu. Mąż szczęśliwy, że mnie widzi, ja, że widzę jego. Święta. Wizyty. Przyjęcia w naszej Polonji. A potem do roboty, której rezultat melduję.

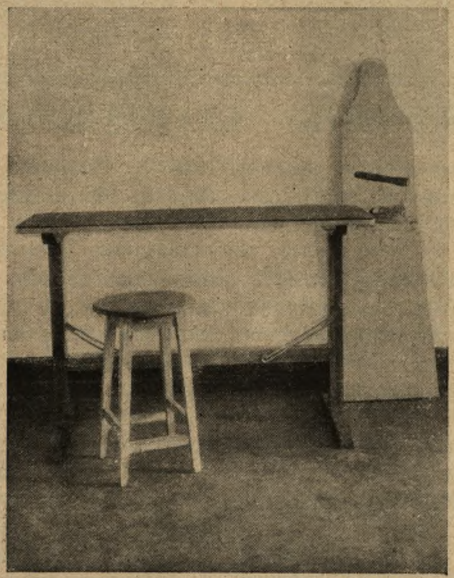
Komitet pań, celem zbierania funduszu na Instytut Radowy imienia Marji Skłodowskiej - Curie zawiązany. Ale aby dać dobry przykład, obiecałam dostarczyć moje dwa obrazy, makatki malowane, szereg serwetek, jako fanty na bazar, który już się organizuje. A że mam malować kurtynę i dekoracje dla tutejszej Polonji do ich amatorskich przedstawień, więc czas mam obliczony na minuty, zwłaszcza że obiecałam duży obraz do ołtarza nowobudującego się kościoła polskiego.

List więc kończyć muszę, zasyłając pozdrowienia z domu, który tak samo, jak u was pewno, zasypany śniegiem, ale w którym ciepło, pogodnie i dobrze.

St-ska.

Modelownia Koła Studjów Gosp. Domowego

Sekcja urządzeń i przyrządów technicznych Koła Studjów Gospodarstwa Domowego pracuje nader sprężyście pod kierownictwem p. Marji Chmieleńskiej, której inicjatywie i doświadczeniu gospodynie zawdzięczają dużo ułatwień i uproszczeń, przeprowadzonych na terenie prac domowych. Sekcja ta stała się również inicjatorką założenia przy Kole stałej wystawy wzorowych sprzętów i narzędzi gospodarskich co zrealizowała „Modelownia", mieszcząca się w lokalu Koła w gmachu Miejskiej Szkoły Rękodzielniczej przy ulicy Kazimierowskiej róg Narbutta. Celem Modelowni jest skompletowanie racjonalnego umeblowania kuchni wzorowej. Trudności jednak finansowe, z któremi Koło walczy narówni z innemi organizacjami, nie pozwoliły dotychczas na zrealizowanie tego zamierzenia.



Niemniej w modelowni widzimy już cały szereg sprzętów wzorowych, których celowość i praktyczność zastosowania została przez Sekcję wypróbowana.

Model kredensu, który łączy w sobie wszystkie potrzebne do pracy naczynia i przyrządy, oraz posiada blat stołowy, był wystawiony na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r. Dalej idzie szereg typów stołów do pracy, w zależności do rozmiarów i poziomu gospodarstw, w jakich mają być stosowane. Komplet przyrządów do prasowania składa się z rozbieranej deski i odpowiedniego stołka; świetny jest również komplet do czyszczenia obuwia i odzieży. Tworzy go składane ramionko - wieszak oraz opuszczany od ściany blat stołowy i stołek, posiadający wewnątrz komplet szczotek i pasty do czyszczenia. Różne rodzaje kubłów kuchennych, suszarek, zmywaków, szczotek, oraz ułatwień wentylacyjnych dopełniają całości tych ciekawych rzeczy.

Zwiedzanie Modelowni odbywa się od 11-ej do 13-ej dwa razy tygodniowo, dla członkiń Koła jest zupełnie bezpłatne, wprowadzeni zaś goście płacą 1 zł.

Koło Studjów Gospodarstwa Domowego, chcąc udostępnić członkiniom n a b y w a n i e pożądanych sprzętów, weszło w kontakt z wytwórcami, do których kieruje osoby zainteresowane.

My zaś w należytem zrozumieniu praktyczności poczynań Koła postaramy się zapoznać nasze Sz. Czytelniczki z różnorodnemi modelami, znajdującemi się w Modelowni.

Na rysunku widzimy deskę do prasowania oraz stołek dostosowany do niej z wysokością. Jest model opracowany przez przewodniczącą Koła Studjów Gospodarstwa Domowego p. Izę Mandukową.

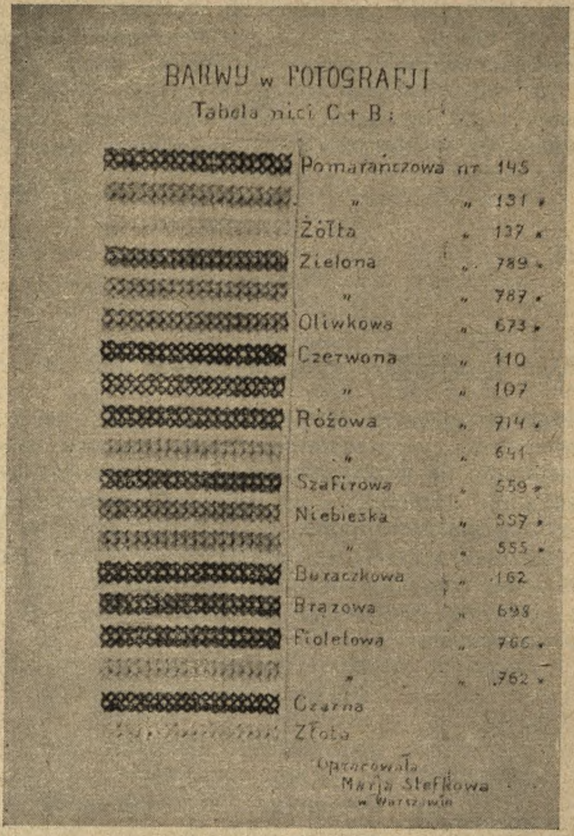
M. A.

BARWY NA FOTOGRAFJI

Tabelę nici do haftu firmy C+B.

Drugi rok już podajemy w „Rodzinie Polskiej“ barwne wzory ludowe, w tekście zaś opisujemy barwy, ściegi, pochodzenie i zastosowanie. Ażeby ułatwić czytelniczkom naszym zorjentowanie się na wzorze, podajemy w niniejszym zeszycie „Rodziny Polskiej“ tabelę barw występujących na fotografji, oraz oznaczenie kolorów według numeracji firmy C+B. Studjum to wymaga nieco ćwiczenia i zorjentowania się w tabeli, która wykazuje różnice w odcieniach.

Przyglądając się załączonej tabelce, zauważymy, że najbardziej czarny odcień daje barwa czerwona Nr. 110, która jest na fotografji ciemniejsza nawet, niż właściwa czarna. Najjaśniejszy ton wywołuje na kliszy żółta Nr. 137*, zaś różowa Nr. 641 i jasno fioletowa Nr. 762* prawie nie różnią się w tonacji, lecz tu znów dopomoże nam we wzorach kwiatowych znany kształt kwiatu, czy liścia. Widząc na przykład ciemny pączek róży nie wyszyjemy go innym kolorem, jek tylko pąsowym i tu szukać będziemy podobieństwa odcieni i ustalimy Nr. nici.





Jeżeli porównamy na tabelce barwy żółtą Nr. 137* i złotą, zauważymy, że na ściegach żółtych światła są prawie białe, na złotych zaś popielate z ciemnemi punktami.

Pa takiem ćwiczeniu, przekonamy się, że łatwiej przy pomocy tej tabelki zorjentować się w ułożeniu kolorów w szczegółach. Nieznaczne odchylenia w odcieniach nie popsują wzoru, unikniemy jednak zasadniczych błędów wyszywając wzór ludowy mylnemi barwami.

Niestety dotychczas nie można jeszcze uzyskać prawdziwych barw w fotografice, a wzory ludowe w hafcie są przeważnie wielobarwne i mają swe obywatelstwo z dawien dawna. Naprzykład wzory wilanowskie są wyłącznie czerwone lub czarne, wyjdą zatem z fotografji prawie zupełnie jednako.

W Tłumackiem znajdujemy wzory na koszulach kobiecych, które muszą być wyszyte w barwach wyłącznie białej i czerwonej, inne używane w dni postne, tylko niebieskie lub fioletowe. Niepodobna więc pomieszać barw w tych haftach, gdyż straciłyby swój charakter. Będziemy w przyszłości oznaczać barwy według podanej tabelki, w tekście zaś opisywać barwy poszczególnych wzorów.

Opracowując hafty huculskie podamy w swoim czasie właściwą tabelkę, gdyż wyszycia te ogromnie różnią się w technice, grubości nici i kolorach. Hafciarki w tamtych okolicach zużywają tak wiele kolorów i ustalonych grubości nici bawełnianych, że firma D. M. C. rezerwuje dla nich cały swój zapas, nie wysyłając tego towaru w inne strony. Najbardziej używany jest tam kolor ciemnowiśniowy, grubość Nr. 8, którego w Warszawie, Poznaniu, czy Krakowie zupełnie znaleźć nie można, bez trudności jednak dostaniemy go w Dorze, Delatynie, czy w Jaremczu.

Barwy nici do haftu mają u ludu różnych okolic odmienne nazwy. I tak: barwa pomarańczowa Nr. 145 nazywa się w języku huculskim „ognista“, w Łowickiem zaś zwie się „dubeltowa“. Kolor buraczkowy Nr. 713* określają w Łowickiem jako „różowy“, w Tłumackiem znów zwą go „bielawy“.

Fiolet Nr. 84* u Łowiczan dziwną ma nazwę „ostróżkowy“, a ta sama barwa zwie się koło Zaleszczyk „sumna“ albo „żałobna“. Tak, jak motywy zdobnicze mają swe nazwy ustalone od pradziadów, tak też i barwy nici i wełny nazywają się tradycyjnie, a świadomość o tem przechodzi z pokolenia w pokolenie.

Musimy więc cenić hafty ludowe, na równi z naukami archeologicznemi historją, narodów i przyrody, gdyż mają równie wielką wartość i świadczą o starej nieraz kulturze.

Marja Stefkowa.

Co robią kobiety u nas

Rada Naczelna Gospodarczego wykształcen a kobiet opracowała projekt regulaminu dla kierowniczek praktyk i praktykantek na wsi i poddała go krytyce gospodyń na łamach „Ziemianki". Regulamin obejmuje 7 paragrafów określających: 1) wymagania stawiane gospodarstwom, przyjmującym praktykantki, 2) i 3) wzajemny stosunek kierowniczek i praktykantek (wykształcenie i praca), 4) wynagrodzenie, 5) obowiązki i warunki pracy praktykantek 6) specjalizację praktykantek, 7) czas trwania praktyk, 8) egzaminy i wydawanie świadectw, 9) rejestrację gospodarstw.

Gospodarstwa dające ogólną praktykę gospodarstwa domowego winny — według wzmiankowanego projektu, odpowiadać następującym wymaganiom:

1) posiadać: a) łazienkę i kanalizację, b) znormalizowaną kuchnię, pralnię i zmywalnię, c) wyrabiać konserwy i zapasy zimowe, d) prowadzić zajęcia według ułożonego planu: dla siebie, dla praktykantek, dla służby;

2) posiadać hodowlę drobiu i trzody w ilościach, wystarczających przynajmniej na dom i kierować nią zgodnie z postępem, a mianowicie prowadzić racjonalne żywienie, mieć wylęgarnię sztuczną, uwzględniać organizację, rachunkowość i kalkulację

3) mieć ogród warzywny tak duży, by wystarczyło na cały rok owoców i jarzyn do racjonalnego odżywiania się, prowadzony wzorowo, a przynajmniej zmierzający do wzorowych urządzeń z uwzględnieniem nowoczesnych narzędzi, zastosowanych do danego terenu, biorąc również pod uwagę organizację i rachunkowość:

4) gospodarstwa, dające praktyki specjalne, powinny właściwy dział prowadzić pod kierunkiem wykwalifikowanej s ły (o ile sama gospodyni nie jest dyplomowaną ogrodniczką, drobiarką it p.) na większą skalę, możliwie handlowo mieć wszelkie nowoczesne urządzenia i maszyny, przy ścisłej kalkulacji i organizacji.

Co się tyczy wynagrodzenia, to projekt przewiduje za pierwszy kwartał, traktowany tytułem próby, zwrot kosztów utrzymania, za drugi liczy się praktyka za utrzymanie, następnie zaś wynagrodzenie praktykantki ma być obliczane w stosunku do pracy najemnego robotnika wiejskiego zależnie jednak od wydajności pracy i od działu, w którym praktykantka pracuje.

Co robią kobiety w innych krajach

Kraje skandynawskie Szwecja i Norwegja wraz z Finlandją i Danją mają już zrzeszonych 60.000 gospodyń z różnych warstw społecznych. Członkinie wpłacają składkę roczną w ilości 5 koron duńskich, co w zumie daje fundusz, wystarczający i na wydawanie dwutygodnika i na zorganizowanie stałej wystawy urządzeń i przyrządów gospodarskich i na urządzanie kursów, na których wykładają również i profesorowie uniwersytetów. Pozatem Związek posiada swoje lecznice dla członkiń i domy wypoczynkowe dla przepracowanych. Przez stawianie zaś żądań (tak, jak to czynią organizacje amerykańskie) co do jakości, rodzaju i cen zarówno produktów przemysłowych, jak spożywczych, wywiera wielki wpływ na wytwórczość i stosunki handlowe.

W Niemczech „Związek Gospodyń" ma jeszcze więcej członkiń niż organizacja skandynawska: jednoczy bowiem 125 zrzeszeń gospodarczych, posiadających łącznie 150 000 członkiń. Związek przystąpił przedewszystkiem do stworzenia instytucji naukowej, która bada wyroby i przyrządy, potrzebne w gospodarstwie domowem, celem ustalenia, czy odpowiadają wymaganiom. W początku r. 1925 udało się Związkowi pozyskać dla swych planów radę miejską Lipska która zrozumiała znaczenie, jakie mieć będzie powstanie instytutu doświadczalnego właśnie w Lipsku, słynnym ze swych targów międzynarodowych. Miasto uzyskało wraz z wszechniemieckim Związkiem Stow. Kobiecych pomoc władz prowincji i państwa i w tymże roku Instytut rozpoczął swoją działalność. Do współpracy z nim stanęły: miejski Chemiczny Instytut Doświadczalny, wyższa państwowa Szkoła Budownictwa, miejskie Zakłady Gazowe i Elektryczne oraz wydział chemiczno-fizjologiczny uniwersytetu. W kontakcie zaś pozostają: miejscowa Doświadczalnia Włókiennicza, doświadczalny Instytut Włókienniczy w Dreźnie i Zw. Elektrotechników w Berlinie. Instytut lipski kontroluje co do jakości i wydajności produkty, urządzenia i maszyny, przeznaczone dla użytku domowego. Towar zaaprobowany otrzymuje znak Zw. Gospodyń, który dla nabywców stanowi gwarancję dobroci. Trzeba nadmienić również, że niemieckie Tow. Rolnicze równocześnie stworzyło specjalną komisję do badania naczyń i przyrządów, używanych w gospodarstwie domowem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. L. M. Najgorzej jest tracić nadzieję. Ciężko jest w kraju, ale od czegoż silne wola i praca. Tem tylko ma słuszność, kto nie traci wiary, że wszelki szlachetny wysiłek, wszelki trud poniesiony z myślą dobra ogólnego, nie idzie na marne. Więc zamiast rozpaczać, trzeba w silne ręce ująć ster swoich czynów, co zajmie tyle czasu, że zbraknie go na „rozpacz i zwątpienie".

„**Gospodyni**". O ile dowiadujemy się od osób śledzących te sprawy, drób nasz, a zwłaszcza indyki i gęsi, dopiero w r. zeszłym po raz pierwszy, jako towar polski wysłane na rynek angielski, wyrobiły sobie wśród odbiorców doskonałą markę i należą do najwięcej notowanych gatunków drobiu importowanego, każdą ilość drobiu polskiego, ale tylko wysoko gatunkowego można sprzedać obecnie na rynku angielskim, powinno to być nielada zachętą dla naszych gospodyń.

P. Wal. Marcz w Zduń. Woli. Zapytuje Szan. Pani, co jest przedmiotem głównym ładunku naszego portu w Gdyni? Z ogłoszonych sprawozdań w ostatnim numerze miesięcznika „Morze" pisma, które otrzymuje każdy członek, należący do „Ligi morskiej i rzecznej", dowiadujemy się właśnie o tem, że: Ogólny obrót towarowy wynosił 150.693 tony. A składały się nań przywiezione ładunki: rudy żelaznej, łomy, żużli, bawełny, miedzi, oliwy technicznej, łoju, orzechów, win i owoców. Załadowano zaś na eksport ładunki: żyta, bekonów, wytłoków buraczanych, desek, wędlin, masła, cukru, żelaza, węgla eksportowego. Port nasz w Gdyni nie próżnuje. Pomaga mu do rozwoju każdy, kto jest członkiem „Ligi morskiej" i opłaca miesięczną składkę 50 groszy.

My, Polki powinnyśmy sobie wziąć za pnkt honoru, aby z tego źródła płynęły miljony na tak ważny cel, jikim jest rozwój naszego skrawka morza, tak bardzo nam drogiego.

KĄCIK DLA DZIECI

KRÓL MRÓZ.

Mróz panował na świecie wszechwładnie. Białemi okiściami pokrywał drzewa, zimnym swym oddechem mroził wszystko wokoło. Zwierzęta i ptaszki pochowały się po norach i szczelinach muru i przytulone do siebie, grzały się, jak mogły. Nawet ludzie choć otuleni w ciepłe kożuchy, niechętnie wysuwali nosy na świat. Wszystko zda się wymarło wokoło.

W wielkiem kamiennem zamczysku mróz dawał się pożądanie we znaki, bo choć bez przerwy na ogromnym kominie paliły się głownie smolnego drzewa, ale tylko w kręgu komina rozlewało się błogie ciepło, w dalszych zaś kątach czaił się mróz siwy i złośliwie ziębił oddechem. Siedziano więc najwięcej przy kominie. Kobiety przędły cienkie nitki lnu i wełny, lub tkały białe płótno i ciepłe barwne materje. Mężczyźni naprawiali zbroje, czyścili oręż i opowiadali o dawnych bojach, niezwykłych polowaniach i odległych krajach, które zwiedzili w rycerskich wyprawach. Czasem stara prządka wysnuła baśń przedziwną, czasem nucono chórem pieśni, to pobożne to znów rycerskie wesołe. I tak upływały długie zimowe wieczory.

Mała Halżka nudziła się bardzo, na dwór wyjść jej nie dali by nie zmarzła, za wątłe były jej paluszki, by ująć wrzeciono, a za młoda główka, by pomieścić w niej mogła wszystkie dziwa, opowiadane przy kominie. Jedno zapamiętała tylko, jak stara Ewa opowiadała o królu Mrozie, w lodowej koronie z długą siwą brodą, w szklistej szacie, a na kogo skieruje swój oddech, ten się wnet w lód zmieni.

Muszę ja znaleźć tego króla zimowego i poprosić go łagodnie, by się wyniósł z naszego kraju — myślała Halżka. Otulona w błękitny ciepły tołubek podbity futrem, w futrzanych trzewiczkach i kapturku, myszkowała po najdalszych kątach, gdzie — jak mówiono — czaił się mróz. Puste były wszystkie kąty i Halżka z czerwonym noskiem wracała, trąc zgrabiałe rączki, w krąg ciepłego kominka.

Aż pewnego razu wyszła po krętych schodach na wysoką wieżę. Oj dmuchało tam! Dziewczynka wstrząsnęła się i otulając szczelniej tołubek czemprędzej zwróciła się ku schodom. Wtem coś mignęło białego, zaciekawiona zwróciła główkę i stanęła zdumiona. Na środku krągłej sklepionej komnatki stał król Mróz a wyglądał zupełnie tak, jak opisywała go stara Ewa. Spojrzał na Halżkę, zachichotał przeciągle aż mu się siwa broda zatrzęsła.

Dziewczynka wstrząsnęła się. Jeśli tak będę stać bez ruchu — przypomniała sobie — to mnie mróz zmieni w sopel lodu, prędko więc muszę mu powiedzieć co umyśliłam, a potem w nogi! — Jak pomyślała, tak zrobiła Ukłoniła się w pas królowi i powiada:

— Królu Mrozie nareszcie cię znajduję, gdzie się chowałeś tak długo.

— A czegóż ty chcesz odemnie — zadziwił się Mróz — taka mała kruszynka. Nie boisz się to mnie.

— Ani trochę — odpowiedziała rezolutnie Halżka — to ty się mnie bój, bom gniewna na ciebie srodze!

— Ja! Ciebie! — zachichotał mróz. I z wielkiej radości okręcił się w kółko, a na świecie powstała zawieja. — A o cóż to — pytał znów.

— Bo ściskasz i gnębisz ziemię, niby zbój okrutny, tchnąć nic wokoło nie może. Jak już ma być zima niech będzie, ale słoneczna i taki mrozik co różowi buzię, ale to co ty robisz — to straszne! Proszę cię więc pókim dobra — zabieraj się stąd!

Mróz śmiał się tak, aż zaczęło chichotać i gwizdać w kominach, a wiatr szarpał drzwiami i oknami. Po chwili uspokoił się, spojrzał uważnie na dziewczynkę i powiedział:

— No! Nie gniewaj się na mnie Halżko, nie od swej woli zależę, sługam ja pani Zimy, czynię co rozkażę, odchodzę, gdy ona tego zażąda. Ale powiem ci coś. Ja nietylko mrożę świat. Umiem ja inne rzeczy. Umiem wodę zakląć w kształt cudny, buduję pani Zimie pałace z lodu i bukiety lodowe ustawiam na jej stołach, odejść teraz nie mogę, ale byś nie była na mnie gniewna i nie nudziła się w ponurych izbach, wymaluję ci na oknie wszystkie baśnie i opowieści, które prawią ludzie w długie zimowe wieczory. Jutro gdy zbudzisz się spójrz w okno. — Z temi słowy zniknął z oczu dziewczynki.

— Halżko, Halżko — rozległo się wołanie — spać pora.

To stara niania nawoływała. Halżka pędem zbiegła po schodach i zarzuciwszy niani rączki na szyję opowiadała prędko, prędko, co się jej przydarzyło. Niania kiwała głową układając dziewczynkę do snu. — Nasłucha się dziecko opowieści więc mu różne rzeczy snują po głowinie — myślała.

Nazajutrz, gdy tylko Halżka wstała, popędziła do okna. Mróz dotrzymał słowa danego dziewczynce, wymalował na oknie przedziwne drzewa i zwierzęta, koronkowe pałace, zbrojnych rycerzy i zaklęte dziewice, a wszystko to skryło się przez dzień w promieniach słońca i rumieniło w blaskach zachodu. I odtąd przez cały czas panowania pani Zimy, mróz wierny swemu przyrzeczeniu malował dziewczynce okna w przedziwne bajki, a każda była ładniejsza od poprzedniej.

I przestała Halżkę odwiedzać kuma Nuda.

H. Rostafińska - Choynowska.

PRZYŚPIEWEK.

Ej! mam butki z podkówkami
Z czerwonej skóreczki!
Ej tańcować one skore
Oberki, poleczki!

Ej! Skrzesze ja przy mazurze
Ognia podkówkami!
Boć to polski, dziarski mazur
Taniec nad tańcami. *H. R. Ch.*

Redaktorka Działu Kobiecego „Rodziny Polskiej“ uprzejmie prosi o nadsyłanie lis'ów do Redakcji „Rodziny Polskiej“, Warszawa. Krakowskie Przedm. Nr. 71, z nadmienieniem na kopercie: „dla Działu Kobiecego“.

Wydawcy: **Stow. Mis. Księży Pallotynów.** Redaktor: **Leon Radziejowski**
Redaktorka działu kobiecego: **Lucyna Kotarbińska.**

Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71.

NA DOBRĄ KSIĄŻKĘ NIE ŻAŁUJ KILKU GROSZY

Miłym podarkiem będą powiastki
Feliksa Brodowskiego

Stokrotka Matki Boskiej

o biednej, suchej wierzbie i jej mieszkańcach

Cena broszurki 50 gr.

Róże św. Teresy

nowe, czwarte wydanie.

Zł. 2.50

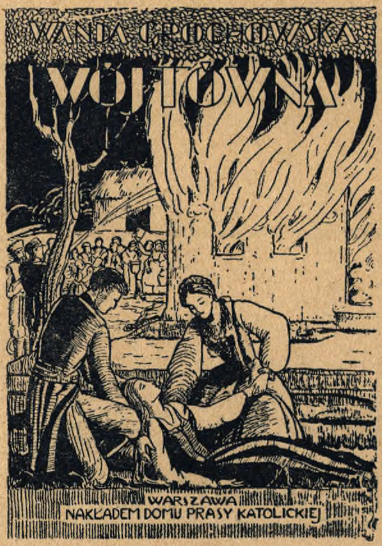
... 365 rozmyślań na wszystkie dni roku. Składają się one ze zdań—istnych pereł, myśli zaczerpniętych z listów i notatek „Małej Świętej".

Ks. J. Lenartowicz.

Sto rad i upomnień

Zł. 1.—

... złota książeczka — istna skarbnica dobrych rad życiowych dla niewiast i panien.



Cena Zł. 3.—

OSTATNIE NOWOŚCI

Wyszły z druku bardzo zajmujące powieści.



Cena zł. 2.—
WYDAWNICTWO
KSIĘŻY PALLOTYNÓW
Warszawa, Krak. Przedmieście 71

Ukazała się w nowem wydaniu
książka do nabożeństwa

Błogosławieni miłosierni

wydanie dziesiąte poprawione, z uwzględnieniem

drogi krzyżowej

Cena:

w opr. płóciennej
brzeg czerw. zł. 3. —
„ „ „ złoty 4. —
„ skórkowej „ „ 6.25

Ks. H. Skolaster.

W pętach guślarzy

Zł. 2.45

... Autor — długoletni misjonarz w Afryce — opowiada nam barwnie i zajmująco o całej zgrozie pogańskiego zabobonu i guślarstwa. Epizody pełne dramatycznego napięcia przykuwają silnie czytelnika.

Czeska-Mączyńska Marja.

Rycerz Chrystusowy

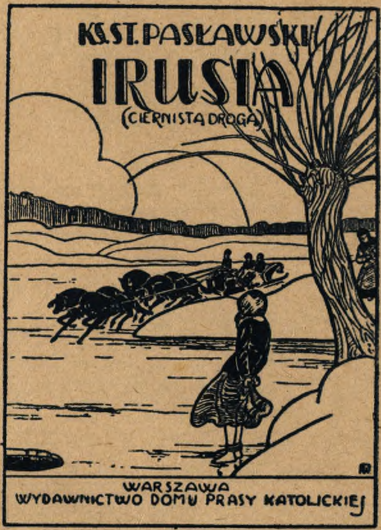
Zł. 4.25

Powieść historyczna z czasów św. Wojciecha. Znakomita autorka „Powieści Chrystusowych" opisuje w nowej powieści tragiczne dzieje grzesznicy.

Gawędy Misjonarza

Zł. 2.50

Przemiłe te gawędy religijno - moralne zyskały sobie w najszerszych sferach licznych przyjaciół.



Cena Zł. 3.—

ZAMAWIAĆ:

Wydawnictwo Księży Pallotynów

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.